Nr. 8. We Lwowie, sierpień, 1923. Rok XLIV.

ŁOWIEC

ORGAN MAŁOPOLSKIEGO TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO

Kalendarz łowiecki **W sierpniu wolno polować** na jelenie, rogacze, tudzież na ptactwo wodne i błotne, przepiórki, gołębie dz., od 15-tego zaś na bażanty i kuropatwy.

Do członków! Kwartalna wkładka dla członków wynosi 3 złp., równająca się wrazie zapłaty w ciągu sierpnia 51.000 Mkp.

Cena pojedyńczego egzemplarza 10.000 Mkp. — Prenumerata na III-gi kwartał 1923 wynosi 1½ złp., równającego się wrazie zapłaty w ciągu sierpnia 25.500 Mkp. — Ceny ogłoszeń: cała strona 800.000, ½ str. 400.000, ¼ str. 200.000, ⅛ str. 100.000, 1/16 str. 50.000 1/32 str. 25.000 Mkp. Ogłoszenia wewnątrz tekstu o 50% drożej.

Redakcja i administracja: Lwów, ul. Ossolińskich 11, p. III. (Małopolskie Towarzystwo Łowieckie) — godziny biurowe od 10 do 13 i od 17 do 19. — Adres telegramów: „Łowiec“, Ossolińskich 11. — P. K. O. Konto Nr. 145.839.

SPRAWOZDANIE
z obrad XXII Zjazdu Mał. Tow. Łow.
odbytych w dniu 15. czerwca 1923.

(Ciąg dalszy i dokończenie)

Po złożeniu sprawozdania z czynności Wydziału, złożył p. H. Weissgerber imieniem Komisji rewizyjnej sprawozdanie z zamknięcia rachunków i wniósł na udzielenie Wydziałowi absolutorjum.

Na interpelacje wniesione przez prof. Rudofa Wacka w sprawie pozycji „wydatków nadzwyczajnych“, w sprawie opłacania się ogłoszeń w „Łowcu“ i w sprawie wypłacenia jednej sile biurowej, z powodu niedotrzymania z nią umowy służbowej, kwoty 1,200.000 Mkp. — dali ze strony Wydziału wyjaśnienia skarbnik p. Stanisław Pieńczykowski i sekretarz Wydziału Sander, a zabierali w tej sprawie głos również Panowie: inż. Gilowski, Orski, Komornicki, którzy w swych przemówieniach dowiedli, że zdanie prof. Wacka, jakoby ogłoszenia w „Łowcu“ zabierały zbyt wiele miejsca ze szkodą dla treści, nie jest słusznem, a to tem bardziej, że ogłoszenia mają prócz finansowego, także inne zadania, jak zainteresowanie pismem sfer fachowych kupieckich, informowanie czytelników o źródłach zakupu i t. p. Po wyczerpującej dyskusji, na wniosek Pana Kazimierza Przybysławskiego, który stwierdził, że Walne Zgromadzenie ma do Wydziału zupełne zaufanie, udzielono Wydziałowi

Mał. Tow. Łow. tudzież redakcja i administracja „Łowca“ mieszczą się w nowym lokalu ul. Ossolińskich l. 11, III p.

absolutorjum tak z czynności, jak i z przedłożonych rachunków.

Następnie, na wezwanie Prezesa, skarbnik Pan Pieńczykowski przedstawił w krótkości preliminarz wydatków na rok 1923/24, o ile taki wobec ciągłego spadku waluty wogóle zestawić się daje, a przypominając, że przed wojną wkładka roczna wynosiła 12 K, zaproponował imieniem Wydziału, aby obecnie ustanowić tę wkładkę na 12 złp., zaś wpisowe na 2 złp., co wprowadzi stały miernik przy obliczaniu dochodów i umożliwi zastosowanie do nich wydatków.

Po dyskusji nad tą sprawą, w której głos zabierali Panowie: Wł. Danek, H. Prek i L. Romanowski, uchwalono wniosek Pana Pieńczykowskiego, dotycznie wysokości wkładki i wpisowego, z poprawką Pana Romanowskiego, że się upoważnia Wydział do dalszego podniesienia wkładki, o ile się to okaże koniecznem i z dodatkowym wnioskiem Dr. Sandera, że się upoważnia Wydział do zniżania, a nawet zupełnego uwolnienia od wkładki członków, których stosunki majątkowe się pogorszyły.

Następnie Prezes zarządził 15-minutową przerwę, celem porozumienia się członków Walnego Zgromadzenia w sprawie wyborów do Wydziału, oznajmiwszy poprzednio, że w myśl postanowień statutu ustępuje całe Prezydjum, dalej, z pomiędzy członków Wydziału, Panowie: Władysław Garapich, Stanisław Kumor, Henryk Prek i Alfred Sander; z pomiędzy zastępców Pan Juliusz Ćwierzewicz, tudzież że nadto obsadzić należy miejsca zastępców członków Wydziału, wakujące wskutek rezygnacji wniesionych przez Stefana hr. Badeniego i Ludwika hr. Mycielskiego.

Po przerwie dokonano przez aklamację na wniosek prof. Wacka ponownego wyboru dawnego Prezydjum, a na wniosek Pana Kazimierza Przybysławskiego, również przez aklamację wyboru Panów: Adama Ebenbergera, Władysława Garapicha, Henryka Preka i Alfreda Sandera na członków Wydziału, zaś Panów: Juliusza Ćwierzewicza, Władysława Danka i Stanisława Kiełczewskiego na zastępców członków Wydziału.

Zgłoszonej stante sessione przez Dr. Sandera, z powodów natury osobstej, a w szczególności zdrowia, rezygnacji po dyskusji i stwierdzeniu zasług jego wobec Towarzystwa, nie przyjęto, mimo czego Dr. Sander oznajmił, że przy powziętym zamiarze nienależenia formalnie do składu Wydziału przynajmniej w tym roku trwać musi i rezygnację swą powtórzy w odpowiedniej chwili na jednem z najbliższych posiedzeń Wydziału, co mu jednak nie przeszkodzi stać i nadal bardzo blisko Towarzystwa, które gorąco ukochał, a na ewentualne życzenie Prezydjum i blisko Wydziału, którego dalszą pracę dla dobra łowiectwa w miarę sił i zdrowia będzie się starał zawsze popierać.

Wobec powyższych wyników wyborów, skład Wydziału przedstawia się następująco:

Prezes Juliusz hr. Bielski, wiceprezesi Cyryl Czarkowski-Golejewski i Albert Mniszek, członkowie Wydziału inż. Adam Ebenberger, Władysław Garapich, Tomisław Jędrzejowicz, Dr. Jan Kalm-Podoski, inż. Edmund Kamienobrodzki, Dr. Aleksander Małaczyński, Edward Münter, Stanisław Orski, Stanisław Pieńczykowski, Henryk Prek, Dr. Alfred Sander i Zygmunt Streer; zastępcy: Juliusz Ćwierzewicz, Władysław Danek, Stanisław Kiełczewski, pułk. Walery Marjański i Stefan Reichard de Reichardsperg.

Przy punkcie wniosków przyjęto następujące wnioski względnie rezolucje, postawione przez Pana Władysława Biesiadeckiego:

1. aby uczynić odpowiednie kroki u Władz, by składy i magazyny nie sprzedawały nikomu broni i amunicji bez wykazania się posiadaniem karty na broń i karty myśliwskiej;

2. aby Wydział zajął się ułożeniem regulaminu wzorowego dla myśliwych, co do zachowania na polowaniach z nagonką i wogóle gremjalnych i któryby zawierał też przepisy z dziedziny etyki myśliwskiej, w sprawie uszanowania rewirów sąsiedzkich, sprawie obowiązków myśliwego wobec posiadanej przez niego w rewirze lub też przez niego ubijanej zwierzyny;

3. aby w przyszłości Walne Zgromadzenia zwoływać na godziny popołudniowe, gdyż członkowie Towarzystwa będący urzędnikami w miejscu lub w miejscowościach doskonale ze Lwowem połączonych, nie zawsze mogą się uwolnić od swych zajęć biurowych w godzinach przedpołudniowych, co staje się przyczyną, że Walne Zgromadzenia są mniej liczne, niżby się tego po zainteresowaniu się członków Towarzystwa sprawami łowiectwa spodziewać się należało.

Następnie Dr. Henryk Malsburg postawił następujące rezolucje:

1. Wydział M. T. Ł. zechce prowadzić ewidencję wszystkich na terenie Małopolski znajdujących się Towarzystw, Spółek i Klubów myśliwskich, ich statutów i regulaminów, ilości i wielkości terenów dzierżawionych, sposobu polowania, ilości urządzanych polowań, ilości ubitej zwierzyny i t. p. Będzie to kontrola nad gospodarką tych Towarzystw.

Wydział poweźmie uchwałę, że każde z tych Towarzystw musi być członkiem M. T. Ł. i musi stosować się do jego zarządzeń i uchwał. Statuty i regulamina tych Towarzystw musiałyby podlegać rewizji M. T. Ł. — które mogłoby rażące braki uzupełniać — lub wadliwe ustawy — zmieniać.

Towarzystwa te miałyby niejako w M. T. Ł. protektora, opiekuna, ale równocześnie i mentora i organ kontrolny.

Delegaci byliby zobowiązani podać do wiadomości M. T. Ł. o istniejących w ich powiatach Towarzystwach i być pomocnymi w dopełnieniu tego zamiaru.

Ewentualnie, wszystkie te Towarzystwa utworzyłyby „Związek Towarzystw, Klubów i Spółek myśliwskich“, których Wydział byłby ich naczelną władzą dyscyplinarną, ewidencyjną, statystyczną i moralno-etyczną.

W każdym razie inicjatywą stworzenia pewnej konsolidacji i kontroli tych Stwowarzyszeń i t. p., powinno zająć się Małopolskie Towarzystwo Łowieckie;

2. Wydział M. T. Ł. zechce zająć się uproszeniem Wydziałów przyrodniczych tut. wyższych uczelni (politechniki, uniwersytetu, weterynarji), by zechciały zająć się badaniem zmian patologicznych u nadsyłanych przez członków M. T. Ł. okazów martwych lub żywych, a wyniki badań udzielać pisemnie interesowanym lub też umieszczać

drukiem w „Łowcu“ i udzielać rad w celu zapobiegania epidemiom i epizootjom;

3. Wydział otworzy w czasopiśmie „Łowiec“ rubrykę drobnych ogłoszeń i zachęci członków do umieszczania tamże swych ogłoszeń, zamiast w pismach codziennych.

Rezolucje te postanowiono przekazać Wydziałowi do rozpatrzenia i przeprowadzenia myśli w nich zawartych w miarę ich wykonalności, jest bowiem wątpliwem, czy wszystko, czego Dr. Malsburg w swych rezolucjach zażądał, będzie wykonalnem, niema n. p. przecie żadnego środka zmuszenia wszystkich Towarzystw myśliwskich do należenia do Mał. Tow. Łow., a zastanowić się też należy, czy taka masowa ich rekrutacja byłaby wskazaną, skoro jeszcze w ciągu tego Walnego Zgromadzenia jeden z jego uczestników odczytał spis członków pewnego Towarzystwa złożonego z 30 osób, których zawód, zajęcie, a nawet ślady, że niektóre z nich znajdowały się już w poważnych kolizjach z przepisami kodeksu karnego, nie pozwalają tuszyć, by tego rodzaju zespoły chciały się zastosować do uświęconych tradycją zasad etyki myśliwskiej i by ich przynależność do M. T. Ł. była dlań zaszczytną.

Odesłaniem wniosku Pana Stanisława Orskiego, by wyjednać zamknięcie polowania na kuropatwy w całym okręgu stryjskim, Wydziałowi do rozpatrzenia, zakończono o godzinie 1-szej popołudniu obrady Walnego Zgromadzenia.

S.



STANISŁAW BURZYŃSKI

Z TEGOROCZNYCH TOKÓW.

20. kwietnia otrzymałem zaproszenie od Dyrektora dóbr perehińskich P. Salca na tegoroczne toki głuszców, a później nadeszła depesza, precyzująca dokładnie datę przyjazdu na 25. kwietnia, godzina 6 rano, do Broszniowa. Niewesołe horoskopy miałem w chwili wyjazdu, gdyż przez cały dzień 24. lało jak z cebra, dopiero, gdym dojeżdżał do Broszniowa, ulewa przeszła w kapuśniaczek, a potem wolno zupełnie się wypogodziło. Zamówiony już poprzednio motor, który uprzejma jak zawsze firma Glesingerów postawiła do mojej dyspozycji, zawiózł mnie wraz z moim towarzyszem kolejką wązkotorową przez Perehińsko i Osmołodę do stacyjki „Zielona“.

Dalej już jechać było niepodobne z powodu zasp śnieżnych.

Tu też oczekiwali nas pobereźnicy i ludzie do obsługi. Gościnny gospodarz wyszedł na nasze spotkanie w Perehińsku i zawiadomił, że toki już w pełni, przytem robił nam piękne nadzieje, w rewirze bowiem dla nas przeznaczonym, dopiero zeszłej wiosny ustaliły się toki i nikt tam jeszcze na głuszce nie polował i kilka bardzo pięknych i starych kogutów miało tam tokować.

Od stacyjki „Zielona“ mieliśmy jeszcze do koleby około 7 kilometrów drogi pieszej, niesłychanie uciążliwej, gdyż metrowej grubości śnieg zaścielał całą drogę, kryjąc pod swym płaszczem zwalone kłody i wykarczowane korzenie z trasy przygotowanej do nowej kolejki, którą nie można się było posuwać, gdyż topniejące śniegi utworzyły sobie wzdłuż wytyczonej trasy wartkie koryto rzeczki.

Po trzech godzinach drogi, urozmaicanej ciągłem zapadaniem się po pas i wydobywaniem się z pomiędzy poplątanych korzeni i kłód, stanęliśmy w kolebie wygodnej i przestronnej, zaopatrzonej nawet w żelazny piecyk i osobne schronisko dla służby leśnej. Koleba umieszczona w cudownem położeniu na pagórku nad potokiem „Czarny“, u stóp góry Zełena, graniczącej z Pareńkami, na szczycie której odbywało się tokowanie. Odpocząwszy cokolwiek po trudach podróży, udaliśmy się o godzinie 5 tej na wieczorny zapad. Tokowisko znajdowało się w prostej linji od koleby nie więcej jak 1.000 m, aby się jednak wydrapać na stromą górę, której podstawę stanowiło granitowe usypisko, trzeba było zużyć godzinę czasu. Na górze rozdzieliliśmy się z moim towarzyszem, zanurzywszy się w niebotycznej świerczynie pod szczytem góry, niedaleko od graniczącego z nią zrębu. W mojem bliskiem sąsiedztwie zapadło 3 koguty i jedna kura, ale w ten sposób, że je tylko słyszałem, lecz dojrzeć nie mogłem. Mój towarzysz był szczęśliwszy, gdyż wypadkowo znalazł się w środku tokowiska i był świadkiem rzadkiego zjawiska w postaci zupełnie prawidłowego tokowania przy zapadzie wieczornym jeszcze przy ustępującem świetle dziennem.

Kilka kogutów tokowało w jego sąsiedztwie, a z znaczniejszej odległości był nawet świadkiem zażartej walki dwu zapamiętałych zapaśników, ubiegających się widocznie o względy tejsamej nadobnej kokoszki i dopiero zjawienie się trzeciego, bardzo poważnego rywala, który w niesamowitym tonie wypowiedzianą admonicją przywołał ich do porządku, położyło tamę zapasom. Mój towarzysz musiał tedy dłuższy czas wyczekać, aż znużeni walką i wzruszeniami miłosnemi współzawodnicy usnęli snem twardym i spokojnym, marząc o rozkoszach, oczekujących ich następnego ranka.

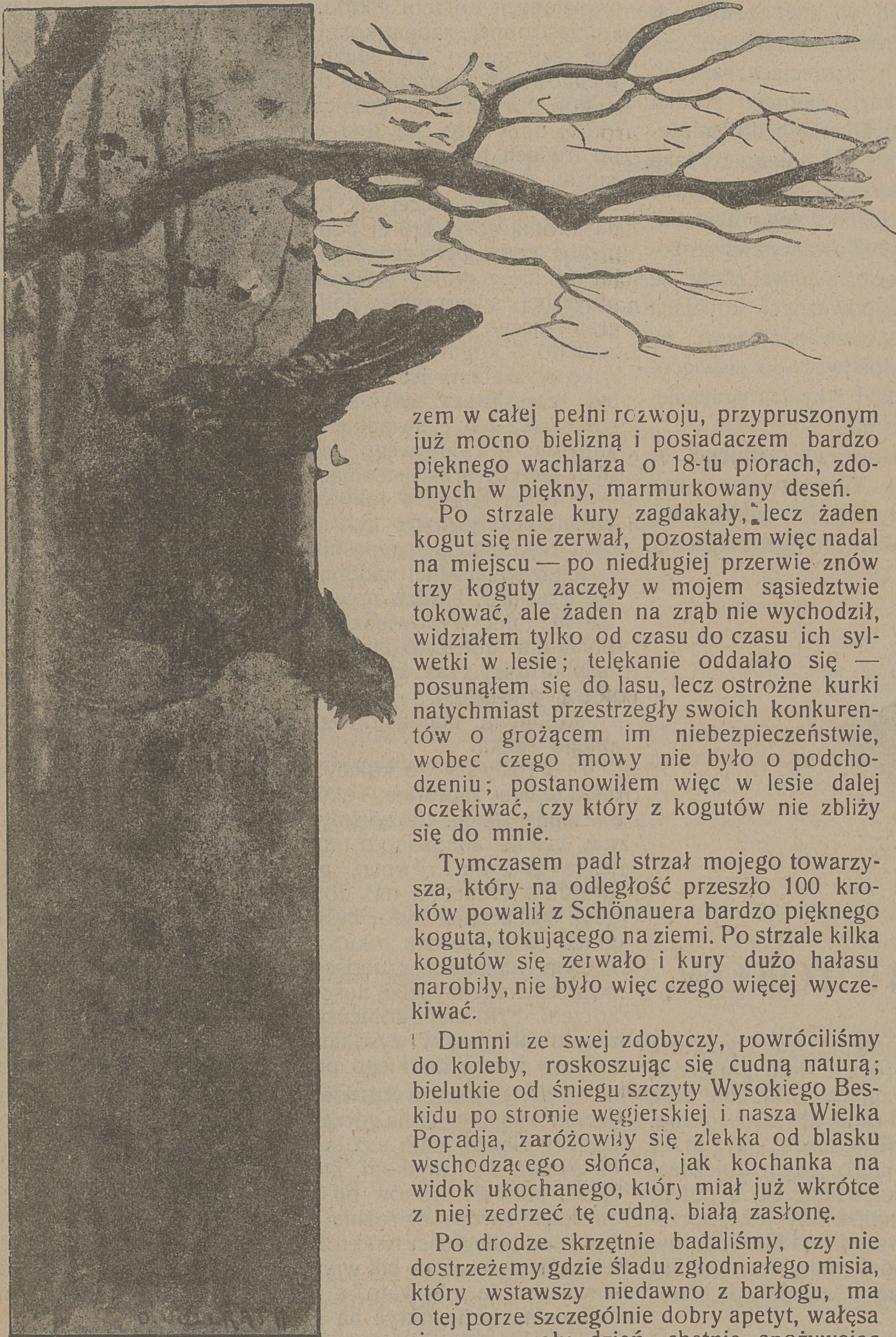
Wróciwszy do koleby zmęczeni szalenie fizycznie, ale pokrzepieni moralnie, rokując sobie najlepsze nadzieje na następny ranek, ułożyliśmy się do snu, wydawszy polecenie, by nas zbudzono o 1-szej godzinie. Tymczasem służba leśna znużona również poniesionemi trudami, zasnęła twardo i zbudzono nas dopiero o $2^1/_2$ — byliśmy wściekli, gdyż wykluczone było, byśmy zdążyli stanąć na tokowisku przed rozpoczęciem toku, a podchodzenie w terenie przykrytym metrowej grubości warstwą chrupiącego śniegu, poprzeżynanym wielką ilością zwalonych kłód i sterczących korzeni, było niepodobieństwem, tembardziej, że tokowisko znajdowało się w wysokim lesie, ale na samym skraju zrębu i dostęp do niego prowadził tylko od strony zrębu.

Wytężywszy wszystkie siły, w 3 kwadranse po zbudzeniu byliśmy już na górze, tchu nam jednak brakło i pot rzęsisty zlewał nam czoła — rozdzieliliśmy się, kierując ku swoim stanowiskom, które miały się znajdywać w odległości kilkuset kroków od siebie. Posuwałem się zrębem zwolna i bardzo ostrożnie w stronę lasu, już świtało, gdy będąc w odległości 100 kroków od ściany lasu, zasłyszałem telękanie; stanąłem jak wryty, po chwili już kilka kogutów równocześnie tokowało, a tu ani się podsunąć nie można, ani niema gdzie ukryć na gołym zrębie.

O kilka kroków odemnie stał suchy złom, podpełzałem do niego i przywarłem mocno, cierpliwie czekając, co dalej będzie; o podchodzeniu mowy nie było. Telękanie stawało się coraz wyraźniejsze i coraz bliższe, a na skraju lasu już pokazała mi się sylwetka posuwającego się po ziemi, z rozpostartym wachlarzem, koguta, wziąłem go na cel, ale było jeszcze za ciemno — postanowiłem czekać dalej cierpliwie, aż się będzie rozwidniać; kogut to znikał w lesie, to wychodził na zrąb i krążył wśród małych świerków, nucąc pieśń miłosną i przywołując do siebie rozkoszne kokoszki. Po paru minutach rozjaśniło się na tyle,

że strzał już był możliwym — z poza grupki świerków, w odległości 50 kroków odemnie, wysunął się na zrąb wspaniały piewca miłości, pociągnąłem za cyngiel i... nie dokończywszy swej pieśni, skonał królewski ptak.

Towarzyszący mi gajowy, przyniósł mi upragnioną, wspanlałą zdobycz i złożył u mych stóp, podając równocześnie złomek jedliny. Zabity kogut był wspaniałym okazem w całej pełni rozwoju, przypruszonym już mocno bielizną i posiadaczem bardzo pięknego wachlarza o 18-tu piorach, zdobnych w piękny, marmurkowany deseń.



Po strzale kury zagdakały, lecz żaden kogut się nie zerwał, pozostałem więc nadal na miejscu — po niedługiej przerwie znów trzy koguty zaczęły w mojem sąsiedztwie tokować, ale żaden na zrąb nie wychodził, widziałem tylko od czasu do czasu ich sylwetki w lesie; telękanie oddalało się — posunąłem się do lasu, lecz ostrożne kurki natychmiast przestrzegły swoich konkurentów o grożącem im niebezpieczeństwie, wobec czego mowy nie było o podchodzeniu; postanowiłem więc w lesie dalej oczekiwać, czy który z kogutów nie zbliży się do mnie.

Tymczasem padł strzał mojego towarzysza, który na odległość przeszło 100 kroków powalił z Schönauera bardzo pięknego koguta, tokującego na ziemi. Po strzale kilka kogutów się zerwało i kury dużo hałasu narobiły, nie było więc czego więcej wyczekiwać.

Dumni ze swej zdobyczy, powróciliśmy do koleby, roskoszując się cudną naturą; bielutkie od śniegu szczyty Wysokiego Beskidu po stronie węgierskiej i nasza Wielka Popadja, zaróżowiły się zlekka od blasku wschodzącego słońca, jak kochanka na widok ukochanego, który miał już wkrótce z niej zedrzeć tę cudną, białą zasłonę.

Po drodze skrzętnie badaliśmy, czy nie dostrzeżemy gdzie śladu zgłodniałego misia, który wstawszy niedawno z barłogu, ma o tej porze szczególnie dobry apetyt, wałęsa się przez cały dzień, chętnie spożywając padlinę płowe zwierzyny, padłej wskutek srogiej zimy.

Niestety, nigdzie nie natrafiliśmy na żadne ślady, ani przez binokle niczego podejrzanego niedostrzegliśmy.

Po dokładnem i zasłużonem wypoczęciu w kolebie, udaliśmy się z moim towarzyszem o godzinie 5-tej na zapad wieczorny. Widocznie przepłoszone naszą ranną wizytą i strzałami, koguty już nie tokowały wieczorem — w mojem sąsiedztwie zapadło 3 koguty i kura, a obok mego towarzysza 2 koguty. Nie będąc już tak zmęczeni, jak poprzedniego dnia, byliśmy już bardziej czujni, wstaliśmy w porę nazajutrz i kwadrans na godzinę 3-cią byliśmy na tokowisku, każdy na swojem miejscu. Ja sobie jeszcze poprzedniego dnia wypatrzyłem znakomite stanowisko u stóp niebotycznego świerka, którego gałęzie opadały prawie do samej ziemi, tworząc wspaniałą altanę, w odległości 100 kroków od ściany zrębu. Na prawo miałem falistą polankę, a na lewo małe grupki młodych świerczków, stanowiących podszycie dziewiczegoboru. Bezwzględna tajemnicza cisza zaległa dokoła — koło 3-ciej godziny przerwały tę ciszę poświsty ciągnących bardzo wysoko słomek. W chwilę później usłyszałem pierwsze telęknięcie na lewo odemnie, drugi kogut zaczął tokować przedemną, a trzeci na prawo odemnie; ten ostatni tokował zapamiętale i widocznie zbliżał się ku mnie, wkrótce wysunął się na polankę w odległości 70 kroków odemnie, chciałem go wziąć na cel, ale było jeszcze za ciemno. Towarzyszący mi gajowy nie mógł zrozumieć, dlaczego nie strzelam i ciągle mnie zachęcał do strzału słowami: „pane, strilajte, bo win pide na dołynu i bilsze jeho ne pobaczymo" — nie mógł zrozumieć, że mnie nie chodzi tylko o zwierzynę, ale że przed strzałem chcę się nacieszyć wpaniałym i niezwykłym widokiem; by go zmusić do milczenia, musiałem mu dopiero rękę na ustach położyć — kogut począł się jednak oddalać i rzeczywiście zniknął w dolinie. Pozostałe 2 koguty tokowały jednak w dalszym ciągu i ten, który był na lewo odemnie, przybliżał się, krążąc na śniegu wśród świerczków; od czasu do czasu migała mi przed oczyma jego sylwetka, gdy się już rozwidniało o tyle, że strzał był możliwy, wysunął się na pola, a ja, bojąc się, by mi niewyciął takiej sztuki jak poprzednik, strzeliłem... nieboraczek skonał na miejscu. Wobec tego, że po strzale żaden z kogutów się nie zerwał, pozostałem w moim ukryciu, nie posyłając nawet gajowego po zdobycz i czekałem cierpliwie dalej. Po dłuższej pauzie, kogut, który poprzednio przedemną tokował, odezwał się znowu coprawda nieśmiało, często przerywając i nadsłuchując, telękał tylko bez szlifowania; sądząc jednak po natężeniu głosu, widocznem było, że się przybliża, ale bardzo powoli i rzeczywiście po pewnym przeciągu czasu przesunęła się jego wspaniała sylwetka pomiędzy grupką świerczków; teraz już szybko podążał po śniegu, kryty choinkami, w swoim kierunku. W odległości 50 kroków odemnie leżała na poprzek gruba kłoda, przykryta śniegiem — kogut doszedłszy do niej, posuwał się wzdłuż niej i musiał wyjść na polankę, na której kończyła się kłoda. Dla mnie widzialne były z poza kłody tylko końce wachlarza. Z biciem serca, z palcem na cynglu, oczekiwałem okazania się jego w całej swej krasie na polanie, lecz w tej chwili doszedł do nas huk strzału danego przez mego towarzysza i piękny głuszec, którego w mej wyobraźni uważałem już za moją zdobycz, uleciał, będące zaś w sąsiedztwie kury, takiego hałasu narobiły, że nie było już racji dalszego wyczekiwa-

nia, więc powróciłem do koleby. Mój towarzysz miał tymczasem w swoim sąsiedztwie dwa tokujące koguty ale oba dosyć daleko, jeden z nich tokował na drzewie, a drugi na ziemi. Pokazało się, że moim strzałem zrobiłem memu towarzyszowi takąsamą niespodziankę, jaką on mi potem sprawił swoim, a mianowicie w chwili, gdy tokujący na ziemi kogut zbliżył się na odległość strzału i kiedy już chciał do niego strzelić, padł mój strzał, po którym jego kogut jednak nie uleciał, tylko momentalnie skrył się w gęstwinie. Dopiero po dłuższej przerwie, kogut, który poprzednio na drzewie tokował, odezwał się znowu, a po pewnym czasie zleciał na ziemię i wtedy mój towarzysz strzelił do niego z Schönauera na odległość 150 kroków. Kogut pozostał na miejscu, tymczasem, gdy zajowy zaczął się przybliżać, by go podjąć, począł maszerować na piechotę, wlokąc za sobą złamane skrzydło. Brnąc w śniegu i przełażąc przeszkody, gajowy nie był w stanie za nim nadążyć — w rezultacie kogut doszedł do zrębu pomiędzy trawy, gdzie już śniegu nie było i przepadł.

W ten sposób zakończyły się nasze łowy; obładowani wspaniałą zdobyczą (wszystkie 3 zabite koguty były bowiem bardzo pięknemi okazami o 18-tu piórach w wachlarzu, upstrzone mocno bielizną), powróciliśmy piechotą do stacyjki „Zełena“, gdzie nas oczekiwał motor, który nas odwiózł do Broszniowa.

Po drodze powrotnej spotkaliśmy pana Dyrektora Salca, który wyszedł na nasze spotkanie, by się dowiedzieć o rezultacie polowania. Niech mi wolno będzie jeszcze raz podziękować Gospodarzowi za Jego wielką uprzejmość i danie nam możności zdobycia tak pięknych trofeów.

Toki perehińskie pozostawią na zawsze w mej pamięci niezatarte wspomnienia.



JÓZEF HR. POTOCKI.

Z obcych światów.

Nad Setitem.

(Kartki z wyprawy myśliwskiej)

—▬—

(Ciąg dalszy)

Przypominają mi się somalijskie czasy. Trzydzieści nocy spędziłem w zeribach nad Nilem Niebieskim i w Somalilandzie i do tej muzyki miałem możność się przyzwyczaić.

24. lutego.

Po nocy pełnej emocji i wyczerpującym dniu wczorajszym, pragnąłem dłużej nieco odpocząć. Chłopcy więc sami wyszli dziś o świcie, ja zaś pozostałem z karawaną i, zwinąwszy obóz, cofam się do miejsca, gdzie wczoraj mieliśmy stanąć, t. j. do Ter-Abu-Karuf, nad rzeką, gdzie spotkałem się z Romkiem u meshry.

Zamiast odpoczynku wszakże, znów narażony byłem na zmęczenie, bo mój przewodnik, który, wyprzedzając karawanę, miał krótszą drogą mnie prowadzić, zabłądził i parę żmudnych godzin kręcił mną po gęstej i kolczastej dżungli, zanim nareszcie trafił do obozowiska w temsamem uroczem miejscu, gdzie wczoraj siedziałem nad rzeką. Chłopcy wracają na południe bez trofeów, Józio strapiony pudłem do byka kudu.

Popołudniu wysyłam ludzi dla budowy zeriby na lwa po drugiej stronie rzeki, o kilkaset kroków od obozu. Chcę tu pozostać, popołudnie więc poświęciłem na rozpakowanie rzeczy i urządzenie obozu na dłuższy postój — nadto na dopilnowanie zdjęcia skór i rogów z wczorajszych trofeów. Nasz taxidermista, Osman Combo, ma pełne ręce roboty.

Nie potrzebuję ruszać się z krzesła, aby mieć z obozu cudny widok na rzekę i żywy ogród zoologiczny po obu jej brzegach. Słychać gęste strzały chłopców. Romek z krótkiej przechadzki po dżungli przynosi sporego odyńca phacochoera i po kolacji idzie na noc do zeriby, choć jasna noc księżycowa nie nadaje się zbytnio do zasadzki na czujnego drapieżnika.

25. lutego.

Całą noc słychać było ryk lwa, który widocznie krążył koło obozu, ale strzału nie było. Widocznie zasadzka w zeribie była bezskuteczna, co zresztą przy tym sposobie polowania często się zdarza.

Romek wrócił o świcie i opowiada o niesłychanych emocjach i wrażeniach, jakich zaznał, siedząc poraz pierwszy w życiu w zeribie. Zaraz z wieczora hiena krążyła około przywiązanego na przynętę koźlęcia, potem zjawił się lampart. Lew ciągle się zbliżał — to oddalał, aż koło czwartej nad ranem podszedł na jakie dziesięć kroków od zeriby, ale kozy nie ruszył.

Romek widział go doskonale w pełnym blasku księżyca, lecz gdy sztucerem poruszył, chcąc zmierzyć przez wylot zeriby, lew skręcił i zniknął w ciemnościach. Miał być ogromny — z grzywą. Pełnia, jak przewidywałem, do zasadzek się nie nadaje.

Gdy słońce wstało, rozeszliśmy się po dżungli — każdy w swoją stronę. Po parugodzinnym spacerze zasiadłem nad rzeką, ale oprócz gazelli, grubszej zwierzyny nie widziałem, unikam zaś niepotrzebnych strzałów, aby grubszego zwierza nie spłoszyć. Jesteśmy bowiem w mateczniku najgrubszego zwierza; ślady lwów, lampartów i wielkich antylop, krzyżują się w piasku i podniecają myśliwski animusz.

Romek wcześnie wrócił do obozu, uradowany niesłychanym wypadkiem udanego coup double do wapaniałego kudu i pysznego byka Aboruf, Roan Antilope (Hippotragus equinus). Gdy przy wodopoju strzelił do pierwszego na jakie 200 kroków, rulując go w ogniu, drugi podszedł do tegoż miejsca i padł od następnej kuli, śmiertelnie raniony

postrzałem w krzyż, umożliwiając zdjęcie ciekawej fotografji. Kto polował w Afryce, pojmie, jakiego szczęścia potrzeba, aby spotkać równocześnie dwa piękne okazy rozmaitych wspaniałych antylop i oba na miejscu położyć. Toteż, gdy opowiadaliśmy o tem później angielskim sportsmenom, wierzyć nie chcieli, aby podobnie szczęśliwy traf mógł się zdarzyć. Dobry okaz byka kudu szczególnie jest przez Anglika ceniony, a oba trofea Romka, jeśli nie do rekordowych, to do pierwszorzędnych egzemplarzy należą.

Józio przynosi rogacza Heuglin'a. Posyłam do dżungli wielbłąda po trofea wielkich antylop, lecz okazały się tak ciężkie, że tylko łby przynoszą. Popołudniu udało mi się upolować ładnego rogaczyka Oribi (Gazella Oribi), jest to mała antylopka, wielkości sarny, jaką już nad Nilem Niebieskim spotykałem.

Słowem — rozkład się poprawia. Ludzie nasi zbudowali opodal obozu drugą zeribę dla Józia, ale w ostatniej chwili okazało się, że druga koza gdzieś zginęła, zatem tylko Romek poszedł do swej wczorajszej kryjówki.

26. lutego (obóz Ter-Abu-Karuf).

Zasadzka się nie udała. Romek nad ranem powrócił z zeriby, w której smacznie, ale bezowocnie noc przespał.

Dzień dzisiejszy wszelako złotemi zgłoskami w kronice naszej wyprawy zapisany być winien. O świcie, jak zazwyczaj, wychodzimy ze swymi ludźmi, każdy gdzieindziej. Józio w kierunku północno-zachodnim, ja wzdłuż rzeki do meshry, gdzie Romek miał wczoraj udane spotkanie z antylopami, Romek zaś ze swoim półdzikim tubylcem, jako przewodnikiem, jeszcze parę kilometrów dalej, drugim brzegiem rzeki.

Mnie prowadzi również tubylec, w dżungli spotkany i jako przewodnik dodany do mej zwyczajnej eskorty, prawdziwy typ murzyna-myśliwca: suchy, rosły, o wydatnych muszkułach i dzikiem spojrzeniu, z nogami żylastemi, jak u jelenia — miał w sobie coś z rysia, albo pantery.

Dochodząc do miejsca, gdzie leży ścierwo wczorajszych antylop, spostrzegam całą churmę skrzydlatych drapieżników, zajętych ucztą. Były tam wszelkiego rodzaju orły i sępy, wśród których przechadzały się poważnie na swych wysokich nogach marabuty. Zwyczajni to przy podobnych ucztach biesiadnicy.

Zatrzymałem się chwilę, obserwując to niezwykłe widowisko, gdy nagle, spojrzawszy na mego przewodnika murzyna, zoczyłem, jak raptem zmienił mu się wyraz twarzy — zębami błysnął, łypnął dziko oczyma i przepadł do ziemi, ciągnąc mnie za rękaw, bym tosamo uczynił. Wreszcie, jak małpa, począł się czołgać na czworakach. Cień był w tem miejscu, bo słońce jeszcze nisko stało i z początku nic dostrzec nie mogłem. Dopiero po chwili o jakie 150 kroków zoczyłem dużego lamparta, który wracał od ścierwa i na brzuchu niemal, jak wąż się wijąc, dążył do gąszczu.

Kontury zwierza jednak tak niewyraźnie odbijały od tła ziemi, kolor jego tak zlewał się z barwą żwiru i kamieni, że trudno mi go było odróżnić i przez teleskop na Mannlicherze ani sposób go było wziąć na cel. Przytem strzał wydał mi się w pozycji, w której do ziemi przywarłem, zbyt trudny i niepewny. Wolałem go więc przez Zeissa obserwować, niż chybić i spłoszyć. Właściwie, pierwszy raz w życiu zdarzyło mi się spokojnie obserwować lamparta w biały dzień, bo choć ich kilka ubiłem w Afryce i Indjach, jednak prawie wszystkie w nocy, a tylko jedną panterę w Indjach przed nagonką.

Nigdy widoku tego zwierza nie zapomnę; pełzł, jak wąż po ziemi, ze stulonymi uszyma, łypiąc ślepiami na wsze strony i tak dziwnie ruszając nogami z łopatki, że ciało jego zdawało się być położone niżej, niż nogi, jakby się brzuchem posuwał, nogami się tylko podpierając. W końcu dotarł do gąszczu i znikł w tajnikach dżungli, jak widmo.

Zasiadłem potem nad wodopojem i spędziłem tam kilka godzin, strzeliwszy tylko raz po drugiej stronie rzeki do bush-bucka, który z kulą w brzuchu wszył się w tak niedostępne gęstwiny i urwiska, że po półgodzinnem mozolnem szukaniu, dałem za wygraną i chciałem już na południe do obozu podążyć, gdy usłyszałem niedaleko parę strzałów Romka. Z obawy więc, aby mu czego nie spłoszyć, wolałem jeszcze na swem stanowisku przeczekać.

Przez myśl mi nawet nie przeszło, że przed chwilą tak blisko odemnie rozegrał się wspaniały epizod myśliwski. Minęło pół godziny, gdy spostrzegłem Romka, idącego z eskortą po drugiej stronie rzeki. Nie wiedział, że tu siedzę i dopiero, gdy nań zawołałem, dostrzegł mnie pod drzewem i jeszcze z za rzeki krzyknął:

— Zabiłem rano dużego water-bucka, a przed chwilą wspaniałego lwa!

Uszom mi się wierzyć nie chciało, że znów tak niebywałe szczęście myśliwskie Romkowi się uśmiechnęło. Otóż rzecz tak się miała, że po ubiciu water-bucka trafili w pochodzie nad rzeką legowisko pary lwów, które uszły przed nimi w gąszcze, po chwili jednak, gdy zasiedli nad meshrą, murzyn-przewodnik rysim swym wzrokiem zoczył lwa, gdy ten kocim susem powracał do swego dawnego legowiska w wklęsłem zagłębieniu ziemi nad korytem rzeki — i tamże zaległ. Nie było innego sposobu, jak starać się zejść go. I poczęło się nad wyraz emocjonujące podchodzenie przy zachowaniu najwyższej ostrożności, by zwierza nie spłoszyć.

Romek szedł naprzód z palcem na cynglu od Springera. Za nim murzyn z zabezpieczonym na "safe" Mannlicherem. W czasie podkradania się spłoszyli lwicę, która ściągała do legowiska małżonka, ale w mgnieniu oka zawróciła, niknąc w gąszczu; lew zaś spał jeszcze spokojnie. Dopiero, gdy Romek znalazł się na samym garbie ziemnego zagłębienia, w którem zwierz spoczywał, ruszył w susach o dwa kroki od myśliwego, a raczej pod nim. Romek strzelił pierwszy raz szybko w zad, w mięśnie — drugi raz spokojnie w bok, poczem lew błyskawicznie zawrócił, szarżując na myśliwego. Obie jednak trafne kule wstrzymały rozmach skoku i Romek miał jeszcze dość czasu na schwycenie Mannlichera i śmiertelny strzał z przodu w kark, po którym lew rozciągnął się martwy o kilka kroków od niego.

Wspaniała sztuka — samiec z grzywą i pyszny epizod ubicia królewskiego zwierza w szarży, w biały dzień, bez zeriby, oko w oko w przypadkowem spotkaniu.

Uradowani, śpieszymy do obozu i po krótkim wypoczynku i przekąsce, wracamy do miejsca, gdzie leży lew, aby zdjąć fotografję i zabrać pyszne trofeum. Niemal cały tabor ludzi nam towarzyszy, bo każdy pragnie ujrzeć powalonego króla puszczy. Po drodze niestrudzony Romek zabija jeszcze jednego water-bucka i ogromnego marabu kulą.

Słońce już nisko stało, gdyśmy dotarli do lwa. Podziwiam wspaniałą sztukę. 9 stóp z górą mierzy, prawie tak duży jak czarnogrzywy Tomasza Zamoyskiego z Somalilandzkiej wyprawy. Kazałem sobie jeszcze raz na miejscu cały epizod opowiedzieć i przyznać muszę, że myśliwy znalazł się odważnie, ale i roztropnie zarazem, a przedewszystkiem zręcznie i zwinnie. Należy przytem zauważyć, że doskonale się złożyło, iż Romek zabezpieczył Mannlichera na „safe" i przez to udaremnił strzał, z pewnością chybny, murzyna, który byłby w ferworze niezawodnie wystrzelił, pozbawiając myśliwego trzeciego, najważniejszego strzału; bezpiecznika zaś murzyn otworzyć nie umiał.

Wracamy w tryumfie do obozu, gdzie zastajemy Józia z dwoma ubitemi rogalami arieli. Radość wielka, wyprawa wygrana! Szampanem oblewamy doskonały obiad i pijemy w ręce Romka na cześć udanej ekspedycji.

27. lutego.

Po wczorajszej emocji zaniechałem dziś dalszej wycieczki i trzymam się blisko obozu. Józia wysłałem z najle-

pszymi przewodnikami do najpewniejszych miejscowości, a Romek idzie ze swym Achmet-Karumą do wodopoju, gdzie przedwczoraj ubił antylopy. Ale, jak to często w myśliwskim zawodzie się zdarza, strzela ten, komu szczęście sprzyja, a nie ten, kto stoi na najlepszem stanowisku. Romek wraca z trzema sztukami: bush-buckiem, arielem i Heuglin'em, zły na Achmet-Karumę, który spłoszył mu pięknego byka kudu przez swoje religijne ablucje w chwili, gdy był na strzał do wodopoju podchodził.

Józio w swej całodziennej po dżungli wycieczce grubszej zwierzyny nie spotkał, ale zato przynosi pysznego marabuta, ubitego kulą w lot! Ja zaś podszedłem przypadkoko i zabiłem hienę na daleki dystans, pierwszą w życiu (Hiena striata), opodal obozu i pół tuzina perliczek jednym strzałem. Widziałem też stadko kudu, lecz same samice.

Popołudniu z obozu nie wychodziłem, przygotowując cały tabor do jutrzejszego wymarszu. Opuszczamy Ter-Abu-Karuf po trzydniowym pobycie, uwieńczonym pysznym rezultatem lwa i sporej ilości największych antylop.

Pozostaje nam tylko jeden niedaleki etap do miejscowości, zwanej Umbrega. Tam — kres naszej wyprawy; dalej granica Abissynji i 10-milowy pas strefy neutralnej, której nam przekroczyć nie wolno. Pozatem dzika Abissynja, kraj trudno dostępny i dla cudzoziemców wręcz niebezpieczny. O zorganizowanej władzy państwowej niema tam mowy. Po kraju grasują uzbrojone bandy abissyńskich kłusowników, dla których karawana kupiecka lub tabor europejskich myśliwych, jest najpożądańszą zwierzyną. Władze angielskie zaś nie biorą na siebie odpowiedzialności za los i bezpieczeństwo podróżnych, którzyby ne własne ryzyko, wbrew rozporządzeniu rządu sudańskiego, przekroczyli granicę. (C. d. n.)



W OBRONIE SŁOMKI.

Z wielu stron kraju donoszą nam o nieustających do tej niemal pory ciągach słomek, co dowodzi, że ptak ten, będący u nas do niedawna tylko przelotną efemerą, staje się naszym ptakiem lęgowym, tak jak n. p. kaczka lub przepiórka.

Równocześnie zwracają się do nas niektórzy myśliwi z zapytaniem, czy strzelanie słomek na ciągach późniejszych, a więc w maju, czerwcu i lipcu, jest zgodne z pojęciem etyki łowieckiej, lub czy wobec tego, że nasza ustawa łowiecka o słomce milczy, możnaby ją włączyć do rubryk błotnego ptactwa — i według tej normy odstrzału dokonywać.

Wydział naszego Towarzystwa w rozwiązaniu tych pytań, zajął stanowisko, jak widzimy z poniżej w sprawozdaniu z ostatniego posiedzenia, zupełnie zdecydowane. Oświadczył bowiem, że strzelanie słomek od 15. kwietnia do 31. sierpnia jest niezgodne z pojęciem etycznem łowictwa i że myśliwy, niestosujący się do tego okresu ochronnego dla słomki, popełnia czyn wysoce dla krajowego łowiectwa szkodliwy.

Stanowisko Wydziału jest zupełnie słuszne, a podyktowane mu zostało głębokiem zrozumieniem rzeczy i uczuciem wielkiego poszanowania etyki łowieckiej. Czy ktoś, co strzela kaczki dzikie, lub kuropatwy w czasie ich okresu rozpłodowego, zasługuje na miano myśliwego? Powiemy jednogłośnie: nie. Czyż w takim razie ukochany nasz ptak długodziuby, dzisiaj nasz ptak polski lęgowy, ma być poza prawem fizycznem i moralnem?

Łowiectwo wyłącza czas rozmnoży niektórych gatunków zwierzyny, z okresu ochronnego i momenty ich erotyczne wyzyskuje dla swoich celów tylko w takim wypadku, jeżeli różnica między samcem a samicą, wyklucza ubicie samicy. Do tych gatunków należą ptaki wielożenne, pod względem płci zupełnie odmiennie upierzone, a więc głuszec, cietrzew, kaczka dzika, z ssących łoś, jeleń i sarna.

Jednym, jedynym wyjątkiem w tej regule jest słomka, pod względem płci jednakowo upierzona, na swym wiosennym ciągu. Powodem tego odstępstwa od reguły są względy tradycyjne i założenie, że słomki ciągnące w marcu i pierwszej połowie kwietnia są to kilkudniowi, na północ śpieszący goście, tak, że odstrzeliwszy z nich jakąś część, żadnej szkody krajowej faunie nie wyrządzimy.

Przeciwnie, strzelając słomki po 15-tym kwietnia, na ciągach późniejszych, ubija się ptaki nasze gniazdowe, lub wodzące już swe maleństwa. Strzelanie takie jest więc nie polowaniem, lecz wstrętnem, nieludzkiem barbarzyństwem.

Członkowie nasi, nie uznający czasu ochrony słomki ustanowionego przez Wydział (15/IV—31/VIII), a jest ich niestety kilku, wchodzą w konflikt z statutem Towarzystwa, a Wydział tegoż, wyciągnie zapewne w tym razie jaknajdalej idące konsekwencje.

Członek Mał. Tow. Łow., musi być karnym myśliwym, a dusza jego myśliwska, bielszą od śniegu! *Red.*



WŁADYSŁAW CZERNIEJEWSKI.

Czterdzieści lat myślistwa w stepach i puszczach

1880—1920.

(Ciąg dalszy)

W końcu kwietnia wybraliśmy się z Kimachą, na dłuższy pobyt w stepach dotąd niezwiedzanych. Po całodziennem uganianiu się za drapieżnem ptactwem i po upolowaniu kilku rzadkich drapieżników, stanęliśmy na noc na wzgórzu pod niewielkim laskiem, ciągnącym się wązkim pasem w niewielkiej dolinie. Wyprzężony kirgiz wytarzał się swobodnie na miękkiej trawie i wziął się do chrupania owsa, psy rozłożyły się pod drzewem, K. rozniecił ogień, postawił trójnóg z kociołkiem kaszy, nastawił samowar i zakrzątał się około wieczerzy, ja zaś ległem na wózku na miękkiem sianie i puściłem wodze mem myślom. Zapatrzony w ciemne sklepienie niebios, usianych miljardami błyszczących gwiazdek, szukałem w nich mych ócz wybra-

nych, które wszędzie widzieć chciałem, wsłuchiwałem się w świegot polnych koników, w namiętne bicie rozkochanego przepióra i dalekie sów hukanie. Z mej zadumy zbudził mnie miękki głos K.: „hodi panyczu, czaj gotów“. W czasie wspólnej wieczerzy psy się raptownie podniosły i z niepokojem i piskiem między nas cisnąć się zaczęły. Równocześnie koń zastrzygł całem uchem, zachrapał i nogami niecierpliwie bić o ziemię począł. Mało zwracaliśmy na to uwagi, zaraz też po kolacji położyłem się spać. K. pozostał na czatach. Nie wiem, jak długo marzyłem „sny złote“, gdy zbudziło mnie delikatne dotknięcie starego. Z pobliskich zarośli donosiły się przeciągłe wycia wilków, które po cudnych mych snach, niemiłe zrobiły na mnie wrażenie. Reszta nocy zeszła nam na czuwaniu spokojnie, a gdy zawitał ranek, K. zabrał psy, udał się w laski, ja zająłem obserwacyjną pozycję w jego wierszynie z przeciwnej strony, mając Jaszczura pod ręką. W tej chwili usłyszałem nawoływanie psów i głośne „huśgo“, a niezadługo z przeciwnej odemnie strony pokazała się wilczyca na pagórku. W przyzwoitem od niej oddaleniu wybiegła Wisła z Rozbojem Kimachy. Zoczył zwierza mój Jaszczur, podbiegł do niego, lecz zawahał się zaatakować, gdyż wilczyca sama przystając co chwila i oglądając się na laski, zdradzała chęć rzucenia się na psa. Strzeliłem na postrach, co zmusiło zwierza do ucieczki. Spotkałem K. w lesie. Zachowanie wilczycy naprowadziło nas na myśl o pozostawieniu tu swych dzieci. Przeszukując krzewy, w pniu starego dębu, w niegłębokiej jamie, znaleźliśmy całą rodzinę z 6 burych wilcząt złożoną. Były jeszcze bardzo małe, ale na tyle uświadomione, że do naszych rąk szczerzyły ostre ząbki i srodze sierć zjeżyły. Parkę z nich wychowałem i dwa lata cieszyłem się mymi wychowańcami, uprzyjemniającymi mi mą samotność, a choć niekiedy nabawiały mnie kłopotu i za ich figle, duszenie gęsi i prosiąt sąsiadom płaciłem grubo, nie miałem urazy do nich. W sierpniu zaczęły zdradzać jakiś niepokój, tęsknotę, czy też rozdrażnienie, wyły po całych nocach, gryzły się między sobą, napadały na psy podwórzowe; w lutym znów inne zdradzały instynkta i wtedy stawały się ruchliwe, złe i drapieżne, wieczorami niebezpiecznie było przybliżać się do nich.

W przejeździe do Odessy odwiedził mnie plenipotent dóbr Taszlickich pan Wilanowski, ze swym sekretarzem Aselbergiem. W czasie kolacji służąca chciała zaprezentować gościom swych wychowańców i wprowadziła ich do pokoju jadalnego. Wilczki poczuwszy mięso na stole, w jednej chwili były na stole, pożerając i tłukąc, co tam znalazły. Zajęty uśmierzaniem małych rabusiów, nie spostrzegłem, co się stało z mymi gośćmi i dopiero teraz zobaczyłem p. W. stojącego w framudze okiennej, zasłaniającego się firanką, a p. A. tak wciśniętego za piecem, że z trudem, z pomocą służącej, zaledwie stamtąd zdołałem go wydostać. Srodze ukarane wilki całą noc wyły pod oknami sypialni, nie dając spać mym gościom, którzy też o wczesnej porze opuścili mój dom, po swojemu gościnny i w powrotnej drodze już mnie minęli.

Powracając raz ze zwykłej przechadzki z mymi wilczkami, spotkałem w parku grono gości generałostwa Wohaków. Zajęty powitaniem kompanji, nie spostrzegłem, jak me wilki zoczyły angielskiego charcika pani generałowej i puściły się za nim w pogoń. Powstała panika między paniami i masowe tłoczenie się na werandę, dokąd zbiegł i charcik i me wilki za nim, przewracając sprzęty, panie, tłukąc wazy, doniczki i przeróżne cacka i figurki. Jakaś piękność zapomniawszy o przyzwoitości, w ucieczce zbyt wysoko uniosła sukienki, ktoś zemdlał, ktoś na spazmy zachorował. Szczęściem, charcik uszedł śmierci niechybnej, wcisnąwszy się w kąt ciasny.

Smutny był koniec mych wychowańców, otruto mi ich przez zemstę.

W domu gen. W. obchodzono uroczyście a suto imieniny pani, pięknej Magdaleny Michałówny. Zjechało dużo gości z okolicy i Odessy. Przybyło paru admirałów, kilku generałów, coś pułkowników, trochę czynowników powiatowych, naturalnie i cały zastęp pań i panien. Były młode i stare, piękne i brzydkie, powabne i wstrętne, szczebiotliwe i małomówne, tłuste i chude, jak wędzone skumbrje, zalotne i ogniste, flegmatyczne i obojętne. Każda jednak znalazła wielbiciela, bo niema potwora, któryby nie znalazł amatora. Tańczono, grano, śpiewano, spacerowano, ziewano po kątach, pito bez liku i wytchnienia, zgrywano się w djabełka do „rubaszki“. Ktoś zapragnął zapolować, inni przywtórzyli, a mnie zapraszać do tej przyjemności nie było potrzeba. Wybrany dzień na łowy był jednym z tych dni upalnych, gdzie z nieba zdawał się padać ogień na ziemię i rozpalać ją do białości.

W dziesięć flint wyjechaliśmy dość późno z domu w dzikie, mało zwiedzane ustronie stepowe. Do obiadu przeszliśmy znaczną przestrzeń, pokrytą zeschłą roślinnością, nie napotykając nawet skowronka. Osłabieni, zmęczeni i zniechęceni, zasiedliśmy do śniadania, w czasie którego zauważył Kimacha zapadające dropie w łan dojrzałej pszenicy. Ruszyliśmy szeroką ławą w tym kierunku, a natrafiwszy, na mej drodze wąski skrawek wysokiego prosa, wchodzę w niego. Nie uszedłem i 20 kroków, gdy wokoło mnie z szumem i charakterystycznem szypieniem podniosło się duże stado dropi tak blisko, iż musiałem wypuścić je na dalszy strzał, by nie rozbić ptaka. Po pięknym dublecie zdążyłem jeszcze włożyć w jedną lufę ładunek, strzelić do ostatniej sztuki, która po strzale zachowawszy się nieprzyzwoicie, wypuszczając całą zawartość żołądka, w niepewnym locie skierowała się ku łanom pszenicy. Idąc pokrytą zeschłemi burzanami miedzą, spędzam parkę strepetów, na tak pomyślny dystans, ze chybienie byłoby nieprzebaczalnem i w oczach mych kolegów okrytoby mnie hańbą. Teraz wchodzimy w owe łany dojrzałego zboża. Przed p. Iwanickim rwie się w dość znacznej odległości droppsamica, a chybiona z dwóch luf, nadlatuje nademnie i pada od mych strzałów. Kimacha odnajduje mego postrzałka t jeszcze żywym go przynosi.

Mam więc 4 dropie i parę strepetów, wyjątkowy rezultat dnia jednego, jakiego z polowań na te ptaki nigdy już nie miałem więcej.

Gdy zazdrośni i zniechęceni towarzysze rozjechali się do domów, ja z K. w prostej linji zawróciliśmy ku wsi. Szliśmy w pewnem od siebie oddaleniu. Niezadługo usłyszałem przyzywający mnie krzyk starego, który coś gonił po stepie, łapał lub podskakiwał, pochylał się ku ziemi. Gdym go doszedł, stał z szeroko rozstawionemi nogami i oburącz odwijał coś lśniącego w blasku słońca od swych goleni długich. Z odrażającym wstrętem, jaki mam do wszelkich płazów, spostrzegłem sprężyste, długie i grube ciało węża stepowego, „żółtobrzucha“ (potosa), który silnie zdusił swymi skrętami nogę strzelca, nie mogącego dać sobie z nim rady. Pchnięciem ostrza kindżała w przydeptaną głowę gada, przyszedłem K. z pomocą. Zdarliśmy z niego skórę długości 144 cm; grubości ręki w kurtce, oliwkowej barwy, z żółtawem podbrzuszem.

Goniąc raz wiatry po stepie, zapędziłem się w nieznaną mi okolicę, gdzie spotkałem kilku jeźdców w towarzystwie dam polujących z chartami. Wspólne upodobanie myślistwa odrazu zbliżyło nas i po godzinie wspólnej przejażdżki byliśmy już w pewnej z sobą zażyłości. Zostałem zaproszony na jesienne polowanie przez p. R. do majątku pod Warmseńskiem leżącego.

Przy pięknej pogodzie wrześniowej puściłem się tam z mym Lordem, dokąd po dość forsownej jeździe na mym kirgizie, po 8-miu godzinach przybyłem. Gospodarza nie zastałem, wezwany wyjechał do Chersonu, pozostawiwszy uprzejmy list, prosząc o zabawienie w jego domu do jego powrotu i korzystania z polowań nieograniczenie.

Będąc cokolwiek fatigatus po długiej drodze, zrezygnowałem z polowania w pierwszy dzień i zużyłem czas na lustrację zamożnego gospodarstwa p. Remiga, pięknych trzód stepowego węgierskiego bydła, remontowych tabunów

koni, licznych stad owiec, arteryjskich studni i sztucznego zraszania warzywnych ogrodów i lasku.

O brzasku dnia następnego byłem już daleko, gdzie w wysokich trawach mój Lord przekładał zawzięcie w prawo i lewo. Z wystawionego stadka kur udało mi się ściągnąć sztuk kilka, chybić parę, co przecież zdarza się i lepszym odemnie myśliwym. Pocieszałem się tem zawsze i nigdy nie traciłem humoru i fantazji z chwilowego niepowodzenia, co mi też robiło mir między kolegami i bracią myśliwską. Długo kołować musiałem, zanim minąłem teren żyznych pastwisk, na których pasły się ogromne stada owiec, strzeżonych przez dzikie psy i również dzikich, kudłatych czabanów mołdawskich. Na wstępie w wysokie burzany zerwało się stado dropi, z którego zabiłem samicę, samca haniebnie spudłowałem. Teraz z każdego niemal krzaczka, lub kępy traw gęstych, wybiegał szarak, na widok którego mój Lord dostaje febry, drży na całem ciele i mimo karności swej, choć kroków kilka pogonić musi, a zabitego pomiąć i podusić.

Wkrótce już nie zważam na marnego kota, mam przed sobą w trawach stado mych ulubionych strepetów. Z właściwym sobie świstem ostrych skrzydełek podjęły się z traw wysokich, a szybując nisko nad ziemią, spędzają inne, łączą się w gromadę i zataczając łuki znaczne, nikną mi w przestrzeni. Mem zadaniem obecnem jest odnaleść je, rozbić i wybrać część w pojedynkę. Udaje mi się poniekąd zrobić to z małem stadkiem i gdy odbita parka zapadła niedaleko, podążyłem za nią. Lord gwałtownie ściągać się zaczyna, idzie coraz wolniej i podprowadza mnie do kępy tyrsy, skąd z głośnem „ko, ko, ko“, podjęła się parka. Z hukiem dubletu spadły martwe. Zaledwie włożyłem nowe ładunki do dwururki, gdy pies rzucił się w inną stronę i stanął jak bronzowy posążek nieruchomy. Pif! i z pod psiego nosa wzlatuje piękna ptaszyna, która po strzale jak świeca wzbija się pod obłoki, skąd, jak biały ciężarek, spada nieżywa. Nie przeszło pół godziny, gdy pies wystawił nowe stadko, które rozpierszchło się na wszystkie strony i dało mi możność zabicia sztuk paru. Zmęczony długiemi przejściami, trapiony głodem i pragnieniem, chciałem odpocząć, tem więcej, że i pies odmawiał mi posłuszeństwa i wlókł się za nogami memi z wywieszonym na łokieć językiem. Kręcąc się po stepie, straciłem świadomość kierunku, a widząc w mglistej dali niewielki lasek i bielejące wśród niego budynki, skierowałem tam me kroki, nęcony jego zielenią i chłodem. Po godzinnym marszu i upolowaniu jeszcze jednego ptaka, znalazłem się pod wysokim płotem, w cieniu rozłożystej lipy, obok szumiącego strumyka. Nie zdążyłem wydobyć z torby mych zapasów, gdy z cienistej alei sadu popłynęły dźwięczne melodje ukraińskiej dumki. W mgnieniu oka zniknęło zmęczenie i siedziałem już na wierzchołku wysokiej zagrody, a chcąc wzrokiem przeniknąć w głąb ogrodu, pochyliłem się zbyt śmiało naprzód, bo stare, chruściane płocisko żałośnie zatrzeszczało, wygięło się i runęliśmy razem w kolące agresty i dzikie róże, czy też głogi. Zanim zdążyłem się wyplątać z mej biedy, stały już przedemną rozśmiane dwie młode, hoże krasatki. Ładna szatynka, o pulchnych wdziękach i wesołem obliczu, o ognistem spojrzeniu i wiotka, smukła jak topola, ryża, jak promienie zachodzącego słońca, jej towarzyszka. Nie miałem i ja powodu do płaczu, więc rozbawieni mą przygodą, przeszliśmy do wygodnego domostwa, skąd dopiero późną porą trafiłem do domu. Odtąd me drogi często prowadziły przez Olgówkę, tem więcej, że w bracie panny Kati znalazłem miłego towarzysza wielu późniejszych wpólnych wycieczek.

Polując tam jeszcze czas dłuższy, upolowałem tam dużo różnego ptactwa i poraz pierwszy spotkałem tam jaskółkę stepową „tyrkuszkę“, od jej głosu „tyki, tyki“ tak zwaną. Ciemno-oliwkowej barwy, z białą piersią i podbrzuszkiem, wielkości synogarlicy, ozdobiona długiemi widełkami ogonka, niczem nie różni się od zwykłej „hirundo“. Po wypłodzeniu się w urwistych brzegach morza Czarnego w połowie sierpnia, zaludnia całe południe Rosji, całe dnie ożywiając puste stepy swym wesołym krzykiem, uwijając się w pogoni za motylami, muszkami i owadami. Niekiedy zbierają się w ogromne stada i z wrzaskiem kołują czas długi nad stawami stepowymi, wzbijając się pod same obłoki. Mimo swej dość znacznej wielkości, nie są łatwe

---

STEFAN FILIPOWICZ

Feljeton

WSPOMNIENIE.

Gdy jak fantastycznie uroczy sen — miną wspólnie przeżyte chwile — po szeregu lat przeżywa się te wspomnienia poraz wtóry i dziesiąty, a pieści się je sercem tem serdeczniej, że bezpowrotnie.

Do tych serdecznych wspomnień należą u mnie chwile wspólnie i nierozłącznie z mym przyjacielem Mietkiem W. przeżyte, kiedy to pełnego zapału do szlachetnego kunsztu łowieckiego, przyjaciela wprowadzałem o rozmaitych porach w nasz odwieczny bór i uczyłem go poznawać i odróżniać tropy — odczuwać i wczuwać się w cudowny rozgwar lasu od pierwszych chrapań słomki, aż do potężnego ryku jelenia — kiedy uczyłem go orjentować się w górach i niebotycznym nieznanym lesie, przelewając w niego wszystkie wiadomości łowieckie latami skrzętnie zbierane i jak skarb strzeżone.

Pod mojem wszak okiem padł jego pierwszy rogacz i pierwszy jeleń i dziś, po całym szeregu lat przeżyć wzajemnych, widzę go kolosalnie zaferowanego, bez słowa, wybladłego, nad wspaniałym bykiem, którego celnym strzałem na komorę, życia pozbawił.

Szereg cały tych wspomnień — ciągnący się jednym nieprzerwanym łańcuchem — zlał się obecnie w jeden obraz przeżyć, upstrzony cudownym pokotem wszelkiej możliwej górskiej fauny, od skromnego górskiego zajączka począwszy, a na grubym szesnastaku skończywszy — a widomym znakiem tych niezapomnianych chwil, resztki trofeów, zdobiących ściany, cudem prawie przed zbrodniczemi rękami naszych najmilejszych Hryciów w r. 1919 ocalałych. Dziś niema naszych piesków kochanych, które zginęły na stanowisku — niema broni, która rękoma zbrodniarzy wydarta gdzieś na Czechosłowaczyźnie sprzedana, służy Bóg wie komu, niema wreszcie i zwierzyny, dla której z takim nakładem pracy, kosztów i starań urządzaliśmy lizawki i gromadzili po zakątkach paszę. Przepadło wszystko, a pozostało tylko wspomnienie, zwierzyna zaś z takim trudem chroniona przed drapieżcami i kłusownikami w mundurze, rozpierzchła się po sąsiednich lasach, znajdując gdzieindziej może bezpieczniejszą ostoję. Smutne to wspomnienia — któremi niechciałbym jątrzyć nigdy niezagojonej rany — a niestety, dotknąć musiałem, dążąc do tych jaśniejszych i wzniosłych wspomnień, z których jedno pozwolę sobie uszczknąć ku pamięci nigdy niezapomnianego towarzysza.

I tak w pewien typowo-górski lekko-dżdżysty jesienny dzień, opadło z za łańcucha Beskidów słońce i powoli ozłociło wierzchołki drzew brzemiennych kropelkami dżdżu, migocącemi setkami kolorów. Łaskawe słoneczko nie uszanowało i sanktuarjum mej poobiedniej drzemki, a że „Dumka“ jakoś bardzo kusząco w me rozespane oczy spoglądała, zatem krótkie postanowienie: „psy na sforkę, awizo do Mietka i do mego wuja, starego leśnika, szukającego u mnie osłony przed grasującymi w jego stronach moskalami i jazda na „Wasiową łukę“, gdzie bez gończych polowanie było niemożliwością, a rogacz stale pewny. Psy czując „ochotę“, wydobywały wszelkie możliwe głosy radości, a sopranowi „Dumki“ wtórował głęboki bas „Cygana“. Krótka chwila i staliśmy gotowi do marszu, ja z psami naprzód otwierałem pochód, śledząc na rozmokłej leśnej drodze ewentualne tropy, za mną zaś obaj moi towarzysze.

do strzału przy swym ruchliwym, szybkim, a wdzięcznym polocie.

Słyszałem tu od starych czabanów o znacznych szkodach, czynionych przez wilki między owcami, lecz nie był to czas na polowanie na tego rabusia. Mówiono mi, że niewiele lat wstecz żyły tu jeszcze antylopy sajgi (antilopa saiga), o mostrualnym nosie garbatym. Dziś jeszcze w dużej ilości trzymającoj się w Astrachańskich stepach.

W szerokiej dolinie Tiligulskiego porzecza miałem w czasie jesiennych przelotów ptasich, doskonałe polowania na słomki, dubelty i bekasy. Nie byłem nigdy mistrzem w strzelaniu do tych długonosych ptaszyn i zawsze więcej dziur nawierciłem memi strzałami w grząskich błotach, niż nazabijałem tych marnych ptaszyn. Rumieniłem się też zawsze, gdy mnie pytano o rezultatach licznych mych strzałach takiego polowania, bo były one zawsze opłakane.

Polując raz w dzień bardzo upalny, byłem siarczyście spragniony, a widząc niedaleko nad brzegiem „lewad“, bielejący folwarczek „Padurey“, skręciłem ku niemu. Kilka hożych dziewczątek, czy mołodyc, stojąc na niewysokiem rusztowaniu, bieliły śpiżarnię, czy też inny lamus. Poprosiłem je o wodę, a gdy najchętniejsza z nich pobiegła z wiadrem do krynicy, wdałem się w wesołą rozmowę z pozostałemi. Szczególnie jedna, powabniejsza, w czystej, wyszywanej „soroczce“ i schludnej sukience, była jakaś rezolutna i dowcipna, więc żegnając się, pogładziłem ją po foremnych, delikatnych łydeczkach, co pobudziło resztę dziewic do ogólnej wesołości i śmiechów,

Nie darmo myśliwi przywiązują dużo znaczenia do obejrzenia kolanek przed ważniejszą wyprawą na łowy, ma to przynosić szczęście, o czem dziś dokumentnie miałem się przekonać. W wesołem usposobieniu i mimo wypitej chłodnej wody, dość podniecony wróciłem na błota, pełne bekasów i dubeltów. Biedne ptaszyny! jakże złorzeczyć powinne były owym łydkom, tracąc swój krótki żywot od mych strzałów trafnych. Nie znałem dziś pudła i z pełną sakwą ptaszyn i wesołą piosnką powracałem do domu.

W miesiąc potem byłem zaproszony przez p. M. na imieniny jego żony, której nie znałem. Jakież było moje zdziwienie, gdy w solenizantce Loli, pani tego domu, poznałem mą mołodycę o pięknych łydeczkach! Spiekliśmy oboje rzetelnego raka, co siedzące matrony jednakże zauważyły, robiąc dyskretne uwagi. O, młodości! ile ty masz chwil, podobnych temu zdarzeniu!

C. d. n.



Po upływie pół godziny stanęliśmy na miejscu na „Wasiowej łuce“, przez którą wiodła boczna górska droga do Turenek, mając po jednej i drugiej stronie głębokie zwory, z jednej strony poszyte lekkim zagajnikiem, z drugiej zaś grubym lasem bukowym, a wszystko to przecinał huczący wezbrany deszczem potok.

Umieściwszy mych towarzyszy na pewnych przejściach mniej więcej w odległości 100 kroków jednego od drugiego, sam zapuściłem się z psami w głęboki las, skąd miałem psy „podpuścić“, a samemu wrócić na flankowe stanowisko. W głębokim zworze, wśród maliniaków, zobaczyłem spokojnie żerującego rogacza, którego podejść, by psy na niego podpuścić, wytknąłem sobie za cel. Niestety, psy już go poczuły i niepodobieństwem było je utrzymać, wobec czego odpiąłem sforkę, sam wracając pośpiesznie na wytknięte poprzednio stanowisko. Zanim jednakowoż stanowisko objąłem, już „tif-taf“ psów grzmiało po lesie, kierując gonkę na stanowiska moich towarzyszy. Po chwili usłyszałem rzeczywiście strzał, poczem głęboka cisza zaległa, co mnie tembardziej zastanowiło, że suka stale zawsze oszczekiwała padłą sztukę.

Zaintrygowany, począłem podchodzić do mego sąsiada Mietka i wyszedłszy z łuku, oczom moim przedstawił się widok, który mi krew w żyłach zamroził i nie pozwolił ruszyć się z miejsca. Oto na stanowisko, gdzie postawiłem mego przyjaciela, ujrzałem porzuconą strzelbę, jego zaś samego stojącego opodal otatlanego błotem i z głową krwią broczącą, na stanowisku zaś następnym wuja mego, wyciągniętego na znak, niedającego znaku życia — po pewnej chwili zrywającego się z ziemi i wybuchającego szalonym śmiechem.

Przyszedłszy po chwilowem osłupieniu do siebie = zbliżyłem się do nich, wszelkie zaś pytania, skierowane do mego nieszczęśliwego przyjaciela, pozostały bez skutku — psy tylko także jakoś nieprzytomnie kręciły się w kółko, obwąchując go i węsząc wokoło. Nie byłem w stanie wytłumaczyć sobie tego wszystkiego, dopiero wuj mój wśród wybuchów szalonego śmiechu, jako naoczny świadek całej tragikomedji, począł opowiadać: Otóż rogacz stary, szczwany gracz górski, widząc się gonionym przez psy, postanowił w swej capiej głowie „dać im szkołę“ i wyprzedziwszy ich na większą odległość — przeskoczyć gęsty krzak leszczyn — zmylić psy i przepaść w sąsiednim zworze. Stary gracz obrał jednak krzak, pod którym ustanowił się mój przyjaciel i jakby rozmyślnie chcąc „nietylko psy, ale i myśliwego pogrążyć“ — przeskakując — pyskiem zawadził o głowę mego przyjaciela, nabijając mu potężnego guza i wraz nim wycinając kozła w błota, przyczem obaj najedli się potężnego strachu, tembardziej, że strzelba wypaliła, rogacz zaś, jako przytomniejszy, porwał się prędzej jak myśl — pozostawiając w rękach niefortunnego myśliwego pełne garście turzycy, a na głowie potężny guz krwawiący i chwilową nieprzytomność.

Po niefortunnem zakończeniu — obmyciu rany i oczyszczeniu, śmiechom i naciąganiom końca nie było i nie obyło się od tego czasu jedno wspólne polowanie, byśmy nie wspominali tej smutnej, guzem tylko potężnym zakończonej tragikomedji, którą dzisiaj, w szarzyźnie „postu“ myśliwskiego przeżywając, na papier przenoszę ku przestrodze młodszej generacji, by z gończymi polując, nie obierali stanowisk pod gęszczami leszczynowemi.

Popisowe strzelanie w Stryju.

Z końcem sierpnia 1923, odbędzie się przy sposobności popisowego strzelania dywizji Podhalańskich w Stryju, na strzelnicy w Zawadowie (w 3-im dniu 1 i 2 gi żołnierskie i ofic. strzelanie).

Popisowe strzelanie M. T. Ł. i oficerskie, w którym mogą uczestniczyć wyłącznie członkowie M. T. Ł. i oficerowie myśliwi Dyw. Podh.

Początek o godz. 8 rano.

Program i regulamin.

I. Strzelanie z pistoletów do tarcz stałych na 25 kroków (odpadnie w braku zgłoszonych nagród, lub co najmniej zgłoszeń 5-ciu uczestników).

II. Strzelanie kulami do tarcz stałych na 100 kroków z wolnej ręki.

III. Strzelanie kulami do tarcz stałych na 300 kroków przez lunety (odpadnie w braku dalszych zgłoszeń nagród).

IV. Strzelanie kulami do tarczy ruch. (dzik) na 100 kroków.

V. Strzelanie w dubletach do 2 naraz puszczanych dzików na 100 kroków.

VI. Strzelanie kulami do ruchomego lisa na 100 kroków.

VII. Strzelanie kulami do tarcz stałych na 300 kroków ze zwykłych karabinów wojsk., stojąco, z klęczki, lub leżąco. W postacie stojącej, dozwolone oparcie jednej ręki (odpadnie w braku zgłoszeń dalszych nagród. Punkt ten programu nastąpi ewentualnie po strzelaniu poz. II.).

VIII. Strzelanie śrutem do krążków glinianych.

IX. Strzelanie zwycięzców o nagrodę mistrz. „Stryjskiej ziemi“. W strzelaniu tym biorą udział zdobywcy wszystkich pierwszych nagród, o ile są członkami M. T. Ł. od 1/l. 1923, zresztą obowiązuje regulamin M. T. Ł. z 16/6, str. 6 Łowca, poz. 10, z tą zmianą, że nagroda staje się nieograniczoną własnością zwycięzcy.

Do strzelań od I., II., III., IV., V., VI., VIII. obowiązuje regulamin M. T. Ł z 16/6 Nr. 6 Łowca, a to §§ 1, 4, 5, 6, 7, 8, 9, 10, 11, 12, 13 i 14 z tą zmianą, że Sąd rozjemczy i Jury stanowić będą delegowani przez Wydz. i ad M. T. Ł. wydziałowi i osoby zaproszone przez tut. Komitet.

Do strzelania VII. może być użyty zwykły karabin wojskowy, na ten cel przez wojsko wypożyczony. Strzałów daje się 5. Kwalifikacje do nagrody oblicza się jak pod II.

Z głoszenia pisemne przyjmuje Komitet. Wpisowe wynosi 10.000 Mp., przy strzelaniu VIII. 40.000 Mp.

P. t. członków M. T. Ł. pragnących w zawodach uczestniczyć, uprasza się o głoszenie udziału, na ręce czł. Wydz. i del. Tow., Stan. Orskiego w Stryju, lub del. Tow., Włodz. Barańskiego (jun.) w Żulinie, najdalej do 15. sierpnia 1923. Podwody do Zawadowa, oddalonego od Stryja o 8 klm. będą przygotowane. Na miejscu bufet z gorącemi przekąskami, muzyka wojsk., wieczorem raut i wspólna zabawa w Sokole. O dniu popisu, doniesie Komitet Wydziałowi M. T. Ł., członkom zgłoszonym do strzelania i w sklepie Army, Lindego 15.

Nagrody (b. pożądane), które wedle woli ofiadodawcy mogą być przeznaczone albo na czysto oficerskie, lub żołnierskie zawody, albo w myśl życzeń ofiarodawcy do of. myśliwskiego strzelania, zastzeżone z ew. wyrażeniem punktu programu, uprasza się skierowywać pod adresem wyżej wymienionych, zaś od 10/8. do p. Andrzeja Onyszkiewicza del. M. T. Ł. Nieżuchów p. Stryj.

Za Komitet:

Alfred Biesiadecki mp., Stan. Kumor mp.,
Stan. Orski mp., Wł. Barański mp.

DR. J. KALM-PODOSKI.

O psach rasowych i rasach psów.

Według ostatniego standardu wydanego w roku 1906 przez „Sporting-Spaniel-Club“ i aprobowanego przez Kennel-Club, uznane są obecnie następujące rasy spanielów:

1. Coocker-Spaniel.

Najbardziej obecnie rozpowszechniony zarówno w Angli, jak na kontynencie, najładniejszy, nazgrabniejszy i najsympatyczniejszy i zarazem najwyższy arystokrata między spanielami, jest „Cocker“. Dr. Muralt powiada, że cały rozum, siła i energja wielkiego psa, są w tym małym formacie zgęszczone.

Wygląd jego powinien być, według Philips'a, zupełnie proporcjonalną miniaturą settera. Wzrost 35—37 cm, długość 2—3 cm więcej. Budowa koścista i muskularna, przytem lekka, zgrabna. Szyja dość długa, lekko wygięta, grzbiet i krzyż prosty i bardzo silny i nie za długi. Pierś więcej głęboka niż szeroka. Nogi proste i proporcjonalne. Łapy duże, dobrze rozwinięte, z mocnemi piętkami. Pazury grube i mocne. Głowa dość długa, stop —czyli przejście z czoła do nosa —wyraźny, lecz niezbyt ostry. Pysk mocny, dobrze rozwinięty, kwadratowo ścięty, z wargami nie zanadto rozwiniętemi. Nozdrza duże, otwarte. Oczy niewielkie, bardzo żwawe i sprytne, powinne być jaknajciemniejsze, prawie czarne. Uszy nisko osadzone, bardzo szerokie i długie, wzdłuż pyska mierzone, schodzą się na nozdrzach. Ogon długi, nisko noszony, ucina się obowiązkowo w pierwszym tygodniu życia, zostawiając tylko trzecią część. Włos nieco krótszy, ale o wiele gęstszy niż u settera, bardzo miękki, zupełnie gładki albo słabo falowany, tworzy na szwach wzdłuż brzucha i nóg i naokoło uszu bogatą frenzlę, na pysku krótki i gładki.

Maść bardzo rozmaita. Najczęstsze i najbardziej poszukiwane są kombinacje czarnego z białem, przedewszystkiem maść błękitno siwa — „blue roan“ — z czarną maską i kilku czarnemi plamami. Bardzo modne też bywają całkiem czarne cockery, dla których nawet na wystawach zwykle specjalne klasy są, bo są tak ładne, że klasyfikowanie ich z drugimi mogłoby być krzywdą dla tamtych. Pazatem bywają bronzowe z białem, bronzowo-, ryżo-, albo pomarańczowo-siwe i black and tan. Bronzowe i ryże odmiany mają często jasne oczy i dlatego nie są lubiane.

Cockerów używa się przeważnie w pojedynkę, rzadziej w małych metuach na bażanty, króliki, słomki i kaczki, następnie, jako aporterów na wszelkiego rodzaju ptactwa, a w Niemczech prócz tego jako farbowców i to z wielkiem powodzeniem.

Podczas, kiedy w Anglji dużo jest Cockerów salonowych, na kontynencie hodowcami są przeważnie myśliwi. Wskutek tego importowane z Angli Cockery dla odświeżenia i podniesienia hodowli bardzo się nadają, ale osobiście rzadko myśliwemu pełną satysfakcję sprawią. Dopiero z ich potomstwa ma się prawdziwą pociechę. Już trzymiesięczne szczeniaki okazują taką wrodzoną pasyjkę i instynkt myśliwski, taki indywidualny spryt i tyle ochoty do nauki, że wychowywanie ich jest najmilszą rozrywką.

Cockery mają nadzwyczaj zdrową konstytucję i są bardzo wytrzymałe na wszelkie zmiany klimatyczne i atmosferyczne.

2. Englisch-Springer.

Jeszcze nie tak dawno klasyfikowano na wystawach w Angli Spaniele powyżej 25 funtów jako Springery, poniżej tej wagi jako Cockery. Dopiero z wprowadzeniem K. C. St. B. zaczęto dzielić te rasy według pochodzenia. Faktycznie, prócz wzrostu, niema na oko prawie różnicy między Springerem a Cockerem. Springer ma 40—45 cm i jest równie proporcjonalnie zbudowany jak Cocker. Głowę

ma w stosunku nieco masywniejszą, pysk trochę dłuższy, stop nieco wyraźniejszy, oczy nieco większe i nie tak ciemne. Maść jak u Cockerów, jednak przeważa biała w bronzowe plamy. Springera używa się wyłącznie w pojedynkę. Wskutek większego wzrostu, aportuje on z łatwością zająca i lisa. Powiadają o nim, że ma charakter trudniejszy od Cockera, że bywa często upartym i prowadzenie go wymaga pewnej rutyny.

Springer, zarówno w Anglji jak na kontynencie, jest mniej rozpowszechniony od Cockera.

3. Welsh-Springer.

Hodowany wyłącznie w Walji przez personal myśliwski, na wystawach nigdy się nie ukazuje i poza Walją nigdzie się go nie spotyka. Odróżnia się od poprzedniego lżejszą budową, zwężonym nieco pyskiem i krótszemi uszyma. Maść przeważnie pomarańczowo-siwa. Włos mocniej falowany, czasem kędzierzawy.

4. Field-Spaniel.

Field-Spaniel pochodzi z skrzyżowania cockera z bassetem. Jest bardzo długi, na bardzo krótkich, kabłąkowatych nogach. Łeb duży i ciężki. Uszy bardzo długie. Włos długi, gęsty, falisty. Maść siwa z czarnem, albo czarna. Wzrost około 30 cm. Używa się go, tak jak basseta, jako gończego na króliki i bażanty, w meutach po kilkanaście sztuk. Na kontynencie się go prawie nie spotyka, chyba tu i ówdzie pojedyńczo na wystawach, jako psa domowego.

5. Clumber-spaniel.

Nazwisko swoje wywodzi od hrabstwa Clumber, gdzie od wieków bywa hodowany i taksamo jak poprzedni, jako gończy w większych meutach na bażanty i króliki używany. Jest to pies ciężki, powolny, wzrostu około 35 cm, bardzo długi, gruby, na bardzo niskich a prostych nogach, głowę ma raczej podobną do bernardyna niż do spaniela, uszy krótsze niż u innych spanielów. Maść wyłącznie biała, z niewielu żółtemi plamami. Jak ta odmiana powstała, czy przez selekcję, czy przez skrzyżowanie, dziś trudno dociec, bo się ją od dawien dawna bardzo racjonalnie i bez żadnych domieszek prowadzi.

6. Wather-Spaniel.

Wather-Spaniel stanowi typ pośredni między pudlem a spanielem, co mnie zawsze skłania do przypuszczenia, że obie te rasy od wspólnego protoplasty pochodzą. Wzrost koło 40—45 cm, szczupły i zgrabny, głowa podobna do pudla, z tą jednak różnicą, że pysk pokryty jest krótkim a gładkim włosem, a uszy długie jak u innych spanielów. Maść wyłącznie czarna. Rasa ta znana jest w dwu odmianach: skotsh i irish, które się tem rozróżniają, że szkocki wather-spaniel ma włos mocno falowany, zaś irlandzki gęsto kędzierzawy. Wather-spaniele używają się wyłącznie do polowania wodnego. Są one szczególnie na wybrzeżach Szkocji i Irlandji bardzo rozpowszechnione, gdzie każda rodzina rybacka takie psy trzyma. Czytałem kiedyś w jakiemś angielskiem czasopiśmie, że się ich także do łapania ryb podczas odpływu morza używa. Fakt jest, że wszystkie spaniele okropnie lubią w wolnych chwilach łapać ryby, co nieraz do bardzo zabawnych incydentów prowadzi.

O ogonach różnych spanielów nic nie wspominałem, a to dlatego, że się je zaraz po urodzeniu ucina. Spaniel z ogonem nie posiada prawa obywatelstwa.

7. Wachtelhund.

Wachtelhunh pochodzi w najprostszej linji od spanielów, sprowadzonych przed kilkuset laty do Niemiec. Dzięki rozumnej hodowli baz żadnych domieszek, zaaklimatyzowały się one tam i zachowały pierwotny typ do tego stopnia, że ich dzisiaj od importowanych springerów zupełnie odróżnić nie można, chyba po maści, która przeważnie jest bronzową, rzadziej bronzowo- aldo stalowo-siwa z plamami. (roan). Wachtelhund ma też wszystkie zalety i wady spanielów i zupełnie tesame zastosowanie w myślistwie t. zn. jako Stöberhund i aporter. Kolebką jego jest Bawarja i pograniczne kraje. Hodowlę i Zuchtbuch prowadzi „Wachtelhund Klub“ w Monachjum. (C. d. n.)



Korespondencje.

Lwów, w maju, 1923.

Jak się cyranki niosą w kieszeni panieńskiego płaszczyka w wagonie i jak panny żbiki strzelają — historje nieprawdopodobne, a jednak prawdziwe.

Sporo lat upłynęło od czasu, kiedy brakiem zdrowia zmuszony wyrzec się myślistwa, pozostałem niestety tylko gorliwym naszego „Łowca“ czytelnikiem i nie miałem sposobności, jak nieraz dawniej, przesłać Szanownej Redakcji słów kilku z prośbą o gościnność na łamach „Łowca“.

Mając jednak do zanotowania dwa ciekawe wydarzenia, przesyłam ich opis, bo może zainteresują naszą brać myśliwską.

W Bochdanówce koło Zadwórza, brzegiem tak znanej tamtejszej kniei, płynie Pełtew, której moczarowate miejscami, szuwarem i krzakami zarośnięte brzegi, dają schronienie licznym stadom kaczek, które się tam na wiosnę gnieżdżą i lęgną.

Przed kilku dniami ścieżką biegnącą skrajem lasu nad Pełtwią, przechodziła panna Lila Bochdanówna z gajowym, który zauważył przyczajoną w szuwarze tuż przy ścieżce cyrankę. Nim jednak ona z gąszczu zerwać się zdołała, zwinny gajowy przydusiwszy ją swym niezbyt lekkim kapeulszem, schwycił cyrankę i trochę oszołomioną tem przejściem, oddał ją z tryumfem swej pani.

Panna L. B. wzięła cyraneczkę do domu, a jadąc nazajutrz do domu, włożyła ją do kieszeni swego płaszcza, z zamiarem przywiezienia jej mojej córce, która specjalny żywi kult, dla wszystkich stworzeń żyjących.

Jakież jednak było zdziwienie panny L. B. i nas wszystkich, gdy z kieszeni płaszcza, wyjęła prócz cyranki — i jej w drodze z Zadwórza do Lwowa w kieszeni zniesione jajko.

Snać biedna cyranka nie mogła odłożyć na później tej czekającej ją fizjologicznej czynności, przyśpieszonej może jeszcze emocjami nie przywykłej do podróży koleją w kieszeni płaszcza panieńskiego.

Zdarzenie to jest tak oryginalne i nieprawdopodobne, że nie chcąc być posądzony o myśliwską łacinę, podaję umyślnie dokładnie, gdzie i komu się zdarzyło.

Narazie rezyduje kaczka w kojcu w ogrodzie obok położonego na garstce siana jaja.

Ma jednak moja córka zamiar ją wypuścić, a ciekawe tylko, czy odnajdzie cyraka drogę do Bochdanówki i tęskniącego tam za nią pewnie małżonka.

Drugie wydarzenie, które mam zamiar opisać, miało miejsce tej zimy na Podolu w Czortkowskiem w Chomiakówce.

Siostrzenica moja Lila Pieńczykowska wyszła wieczorem na przechadzkę poza folwark, graniczący z polami od strony lasu i kamieniołomów. Mając wrodzoną po ojcu żyłkę myśliwską, wzięła strzelbę na ramię, nie przypuszczając nawet, jak bardzo jej będzie przydatną.

Ledwie bowiem przeszła paręset kroków, zobaczyła z daleka, jak głęboką wśród pól bruzdą od strony lasu w jej kierunku skrada się i czołga, przywarowując co chwila, jakieś stworzenie.

Momentalna decyzja i siostrzenica moja skryła się za drzewo, koło którego właśnie przechodziła, mając przekonanie, że to lis skrada się do folwarku po kury, które i tam i na wsi masowo od jakiegoś czasu przepadały.

Jak się zdaje, dzięki temu, że prędzej spostrzegła, niż spostrzeżoną została — ów domniemany lis nie zmienił kierunku, tylko dalej zbliżał się powoli do drzewa, za którem z bijącem sercem i gotową do strzału bronią, czekała moja siostrzenica. Dobrze się już zmierzchać zaczynało, gdy się wreszcie na strzał zwierz przybliżył.

Nieodrodna córa swego ojca, co do oka i celności strzału, strzałem w głowę rzekomego lisa na miejscu położyła. Jakaż jednak była jej radość i tryumf, gdy przybiegłszy na miejsce strzału, rozpoznała wspaniałego żbika, w śmiertelnych drgnieniach składającego u stóp jej życie.

W mem życiu myśliwskiem ze żbikiem w kniei nigdy się niestety nie spotkałem; widywałem je tylko wypchane w muzeach, lub na wystawach, ale tak ładnego i dużego okazu, nie zdarzyło mi się widzieć.

Futro puszyste o żółtawym odcieniu, ciemno pręgowane i charakterystyczne u żbika, na dość grubym ogonie prawie czarne obrączki.

Gdy parę tygodni później oglądałem tu we Lwowie ślicznie wypchaną skórę, biadaliśmy z siostrzenicą, że jednak jedna skóra na ładną „etolę“ nie wystarczy; nie przypuszczaliśmy, że już w drodze z Chomionkówki do Lwowa była druga, choć mniej ładna skóra ze żlika, zabitego przez tamtejszą straż leśną, po wyjeździe mojej siostrzenicy do Lwowa — a że tej zimy zabiła panna Gromnicka w parku dworskim w Łaskowcach (parę kilometrów od Chomiakówki) trzeciego żbika, więc widocznie wywiodło się ich całe gniazdo w tamtejszych z lasem graniczących kamieniołomach, a z nastaniem zimy rozeszły się te szkodliwe rabusie za zdobyczą po okolicy.

W każdym razie wydaje mi się dziwnem, by żbiki, trzymające się przeważnie na Podkarpaciu po lasach i jarach, zawędrowały tego roku na głębokie Podole, przy tegorocznej niezbyt srogiej zimie — i dlatego właśnie przypuszczam, że były to żbiki gniazdowe tam urodzone i wyrośnięte.

Fakt ten opisuję w „Łowcu“, bo jednak rzeczą jest ciekawą, że zdobycz myśliwska, o której niejeden marzy myśliwy, stała się udziałem dwóch panien na Podolu, szczęśliwych wybranek bogini Djany.

Choć się boję nadużyć cierpliwości łaskawych Czytelników i gościnności „Łowca“, na zakończenie podaję oryginalny zbieg okoliczności.

Mając lat 16 zabiłem dnia 2. kwietnia 1883 roku wieczorem na zasiadce, mego pierwszago w życiu widzianego i strzelanego dzika.

Na pamiątkę tego radosnego dla mie faktu, dostałem od mej matki brelok srebrny do zegarka, w postaci głowy z dzika, z wyrytą na nim pamiętną dla mnie datą.

Gdy syn mój, Stefan, mając taką — jak i ja niegdyś — pasję myśliwską, polować zaczął, schowałem ten brelok, nie pokazując mu go i postanowiłem, gdy on swego pierwszego zabije dzika, dać mu ten brelok z wyrytą obok mojej, jego datą. Stało się to, tego roku, w tak znanej czytelnikom wielu, dzicżej kniei w Uniżu.

I czyż nie oryginalny zbieg okoliczności! Syn mój zabił swego pierwszego dzika także 2. kwietnia, tylko równo o 40 lat później, w roku 1923. Naturalnie datę tę kazałem na breloku wyryć obok mojej i synowi ku upamiętnieniu tego zdarzenia ofiarowałem. *Marceli Bogdanowicz.*

* * *

Łańcut, w czerwcu, 1923.

W spełnieniu obowiązku delegata, podaję poniżej spis polowań ostatniego sezonu na terenach łowieckich Ordynacji Łańcuckiej i Towarzystwa Myśliwskiego „Diana“ w Łańcucie.

Rezultaty polowań niezadawalające z powodu fatalnych warunków atmosferycznych: błota, deszczu, burz i zawiei śnieżnych, odwilży i zmiennej pogody; wiele też terenów z tychsamych przyczyn i to najlepszych, pozostało niespolowanych.

Polowania Ordynacji: 12/X. 1922, las Czarne łoziny, 3 strzelb, 1 słomka — polowano 1 godz., przerwane deszczem; 23/X. 3 strzelb, 1 lis, 8 zajęcy, 4 kuropatwy — polow. 1 godz.; 27/X rewiry Sirażów, Romanówka i Wisłoczysko, 5 strzelb, 14 zajęcy — polowano pół dnia i przerwano przez śnieżycę; 28/XI. 6 strzelb, 1 lis, 57 kaczek — polowano dwie godziny; 14/XII. pola Górnego, 6 strzelb, 26 zajęcy — polow. pół dnia; 23/XII. na Albigowej, 4 strzelb, 23 zajęcy — odwilż i błoto; 30/XII. las Dubrówki, Czarna, Zalesie, 6 strzelb, 3 dziki, 1 lis, 29 zajęcy — odwilż i mokro, lisy były w jamach; 15/I. 1923. las Pogwizdów, 10 strzelb, 16 zajęcy — śniegi i okiść.

Polowania Klubowe: 9/XII. 1922. część drugą Pogwizdów, 14 strzelb, 11 zajęcy — miotów wzięto niewiele; 2/XII. pola Kruczkowej, 15 strzelb, 16 zajęcy — oddwilż i błoto; 23/XII. pola za Pomolcyją, 8 strzelb, 2 zające — pol. przerwane; 23/XI. Krzaki Księże, 13 strzelb, 48 zajęcy — śnieg głęboki; 25jXI. las Kruczkowa, 11 strzelb, 34 zajęcy — wzięto mało miotów; do Krzyżyka, 11 strzelb, 1 lis, 2 rogacze, 38 zajęcy.

Polowania Ordynackie: 26/XII. 1922, rewir Lubartów, 5 strzelb, 17 bażantów — polowano 1 godzinę; 28/XII. pola wysockie, 10 strzelb, 74 zajęcy — zawieja, polowanie przerwano; 29/XII. pola koło Betulina, 8 strzelb, 61 zajęcy — polowano pół dnia; 31/I. 1923, sośniny i pola Głuchowe, 8 strzelb, 59 załęcy — polowano niecały dzień.

Razem: 18 polowań — 3 dziki, 4 lisy, 2 rogacze, 459 zajęcy, 57 kaczek, 17 bażantów, 4 kuropatwy, 1 słomka, różne 1, sztuk razem 458.

Naczelną jednak przyczyną lichego wyniku polowań w tym sezonie, jest katastrofalny upadek zwierzostanu w naszym powiecie. Rosyjska inwazja rozpoczęła dzieło zniszczenia, a każdy miesiąc dalszej wojny, wyrządzał nieobliczalne szkody; dzieło ś. p. hr. Romana Potockiego, wspaniałe gospodarstwo łowieckie, przedmiot podziwu swoich, a zazdrości zagranicy — poszło na marne. Obecny Ordynat hr. Alfred Potocki, nie szczędzi wydatków na podniesienie łowiectwa i jako zapalony myśliwy nie chce dać upaść ojcowskiemu dziełu i baczną zwraca uwagę na odbudowę zrujnowanego łowiectwa i podniesienia stanu zwierzostanu. Rozpanoszone na skutek powojennej demoralizacji kłusownictwo, niedość energicznie zwalczane przez Władze zwierzchnicze, staje jednak w poprzek wszelkim zamierzeniom Ordynata i administracji łowieckiej. Dla skutecznego zwalczania kłusownictwa, wiodą, zdaniem mojem, następujące drogi: 1. surowe karanie za przekroczenia patentu o noszeniu broni; 2. ściganie wypadków stawiania oporu straży łowieckiej z bronią w ręku, jako zbrodnię gwałtu publicznego i przykładne karanie; 3. bezwzględne postępowanie z winnymi dokonanego lub usiłowanego kłusownictwa, nie zaś kilkudniowy areszt, który nieodwodzi skazanego od zbrodni, a zachęca drugich; 4. powiększenie personalu łowieckiego; 5. wydatne premje za schwytanie kłusowników i odebranie strzelby; 6. zaprowadzenie przymusu legitymacyjnego dla sprzedających zwierzynę i karanie nabywców lekkomyślnych lub przestępnych za nabywanie podejrzanych towarów względnie paserstwo (wzór Węgry). Równie a może nawet bardziej niebezpieczni od kłusowników, są podejrzani dzierżawcy, uprawiający myślistwo dla wzbogacenia się szybkiego. Widzę tylko dwa sposoby zapobieżenia rabunkowej gospodarce niepowołanych: 1. przeniesienie prawa wydzierżawiania polowań na Radę gminną, ponieważ Wydziały Spółki łowieckiej, dają, według dotychczasowych doświadczeń, mało gwarancji należytego spełniania swych obowiązków, członkowie Wydziałów popierają w piewszaj linji swe własne interesy, co w tak szczupłem gronie (złożonem z 5-ciu członków), łatwo przeprowadzić; 2. uzależnienie ważności umowy dzierżawnej od opinji Towarzystwa Łowieckiego, którego delegaci przedstawialiby Starostwu nasuwające się im co do osób wybranych do Wydziałów Spółek łowfeckich, jak i osób nowych dzierżawców wątpliwości.

Oto postulaty chwili obecnej.

Ordynacja łańcucka, dzierżawiąca 90% terenów łowieckich powiatów, spełniła swe zadanie w zupełności, straż łowiecką powiększono i wyposażono odpowiednio za tępienie drapieżników i kłusowników przeznaczono wysokie premje, wyposażenie

straży w amunicję postawiono na stopie przedwojennej, zwierzynie zadawano karmę w zimie, a ziarno w lecie, sprowadzono jaja bażancie, kuropatw i kaczek dla odświeżenia krwi i zwiększenia rozmnoży — jednem słowem uczyniono wszystko. Ponieważ zaś Ordynat hr. Alfred. Potocki wykazuje takiesame zrozumienie dla spraw łowiectwa, jak ś. p. Roman hr. Potocki, nie szczędzi wydatków, a jako protektor wspomnianego Klubu „Diana" w Łańcucie również wydatnie go wspomaga i ma doskonale wyszkolony personal (na 25 nagród Polskiego Towarzystwa Łowieckiego w Warszawie straż łowiecka samej Ordynacji wzięła pięć premji), dalsze powodzenie kosztownego dzieła zależy tylko od Władz i gdy Władze te wykażą równą gorliwość i dbałość o polepszenie łowiectwa i podniesienia stanu zwierzyny, jak je wykazuje prywatna inicjatywa, mam niepłonną nadzieję, że powiat łańcucki w krótkim czasie wróci do sławy polskiego Eldorada myśliwskiego, a liczne rzesze dostojników zagranicznych z gościny na Zamku łańcuckim, wyniosą głęboki respekt przed polskiem łowiecwem i będą wymownymi heroldami naszej starej i wysokiej kultury mysliwskiej.

Nie mogę pominąć owocnej działalności Klubu myśliwskiego „Djana" w Łańcucie.

Nie obawiając się poważnych wydatków i wysokich czynszów, wydzierżawia Klub zaniedbane tereny, w porozumieniu i przy pomocy zarządu łowiectwa Ordynacji, dba o wytępienie kłusownictwa i drapieżników, a przez racjonalne wykonywanie polowań, stara się wyniszczone tereny podnieść i dla wyznawców św. Huberta na przyszłe lata niejedną niespodziankę zgotować. *Włodzimierz Lewicki.*



Sprawy Towarzystwa.

SPRAWOZDANIE
z posiedzenia Wydziału z dnia 15. czerwca 1923.

Przewodniczy Prezes Juliusz hr. Bielski, obecni wicepr. Cyryl Czarkowski-Golejewski, członkowie Wydziału: Garapich, inż. Kamienobrodzki, Münter, Orski, Pieńczykowski, Prek, Sander, zastępcy: J. Ćwierzewicz, inż. Danek, St. Kiełczewski i Reichard de Reichardsperg.

Obrady toczyły się nad sposobami pobierania wkładki, uchwalonej przez Walne Zgromadzenie.

* * *

SPRAWOZDANIE
z posiedzenia Wydziału z dnia 25. czerwca 1923.

Przewodniczy Prezes Juliusz hr. Bielski. Oobecni: wiceprezes Albert Mniszek, członkowie Wydziału: Inż. Ebenberger, Jędrzejowicz, Inż. Kamienobrodzki, Pieńczykowski, Sander i Streer, zastępcy Inż, Danek, pułk. Marjański i Reichard.

W dalszym ciągu obrad z dnia 15/VI. ustalono sposób pobierania wkładek, uchwalonych przez Walne Zgromadzenie, oraz wysokość prenumeraty.

Zauważa się, że zapadłe w tych sprawach uchwały ogłoszono w n-rze 7. „Łowca" w artykule „Od Wydziału i Redakcji".

Po dłuższej dyskusji, w której zabierali niemal wszyscy członkowie Wydziału głos, celem nakłonienia Dr. Sandera do cofnięcia wniesionej rezygnacji, przyjęto ostatecznie tak tę rezygnację, jak również i rezygnucję zastępcy członka p. J. Ćwierzewicza.

W poczet członków przyjęto:

Inż. Michała Mikulskiego, Kazimierza Smolkę, Dr. Brunona Wojciechowskiego i Dr. Januarego Zubrzyckiego.

Celem ukonstytuowania się Wydziału, wyznaczono osobne posiedzenie Wydziału.

SPRAWOZDANIE
z posiedzenia Wydziału z dnia 2 lipca 1923.

Przewodniczy Wiccprezes A. Mniszek. Obecni członkowie Wydziału: Inż. Ebenberger, Jędrzejowicz, Münter, Pieńczykowski, Streer; zastępcy: Inż. Danek, Kiełczewski, Reichard. Zaproszony Dr. Sander.

Ukonstytuowanie się Wydziału przeprowadzono przy pomocy kooptowania do współpracy pp. Władysława Wesołowskiego i Izydora Śnieszka.

W poczet członków przyjęto:

Dr. Tadeusza Pisarskiego i Edmunda Podwina.

SPRAWOZDANIE
z posiedzenia Wydziału z dnia 13. lipca 1923.

Przewodniczy Prezes Juliusz hr. Bielski. Obecni: wicepr. Albert Mniszek; członkowie Wydziatu: Inż. Ebenberger, Dr. Małaczyński i Streer, zastępca Inż. Danek, kooptowani Władysław Wesołowski i Izydor Śnieszek, zaproszony Dr. Sander.

Do współpracy z Wydziałem kooptowano w dalszym ciągu Dr. Władysława Burzyńskiego.

W poczet członków przyjęto:

Stefana Chrzanowskiego, Jerzego Skawińskiego i Emila Szestaka.

Prezes zdał sprawozdanie z przebiegu konstytutywnego zebrania delegatów Cent. Zw. Pol., Stow. Łowieckiego, w którym brał udział w dniu 9. lipca w Warszawie, jako jeden z pięciu delegatów M. T. Ł.

Szczegóły tego sprawozdania podano w innem miejscu.

Wiceprezes Mniszek przypomniał, że w r. 1926 Towarzystwo święcić będzie 50-ciolecie swego istnienia i zaproponował, by te złote gody uświęcić ostatecznem zrealizowaniem podniesionej przed laty myśli ufundowania ołtarza św. Hubertowi w kościele św. Elżbiety we Lwowie i uświetnić je urządzeniem pełnej wystawy łowieckiej w owym roku.

Po ożywionej dyskusji wyznaczono komisję, której polecono pewne przedwstępne czynności, potrzebne do urzeczywistnienia projektów wnioskodawcy, który równocześnie ofiarował jedną akcję „Army", jako cegiełkę na budowę ołtarza.

Na skutek pisemnego zapytania delegata Dr. Malsburga, wzięto pod obradę kwestję strzelania słomek już od 1. lipca, a po wyczerpującej dyskusji ustalono, że termin ochrony słomki powinien zaczynać się 16. kwietnia, a kończyć najprędzej 31. sierpnia.

Termin następnego posiedzenia Wydziału ustalono na dzień 5 września.

OD WYDZIAŁU i REDAKCJI!

Przerachowanie złotego polskiego na marki na miesiąc sierpień przyjęto na 17.000 Mkp., wskutek czego wkładka kwartalna, wpłacona w ciągu mies. sierpnia, wynosi 51.000 Mkp. Prenumeratata zaś „Łowca" na kwartał dla niečzłonków M. T. Ł. wynosi 25.500 Mkp. Zresztą odsyłamy członków i czytelników do uwag poczynionych w n-rze 7. „Łowca" pod tymsamym tytułem.

Daninę łowiecką w dalszym ciągu złożyli:

Józef Grabowski 15.000, Marjan Jüngst 5.000, Dr. Alfred Sander 600.000, razem 620.000. Mkp.

Członków, którzy zalegają jeszcze wkładkami za poprzednie kwartały, prosimy o wyrównanie tych zaległości wraz z władką bieżącą, a to przy użyciu blankietów P. K. O., w tym celu im do niniejszego numeru, z notatką na odwrotnej stronie, dołączonych. W miesiącu wrześniu wstrzymaną zostanie wysyłka tym, którzy w ciągu sierpnia nie uiszczą wkładki za III-ci kwartał i nie wyrównają swych zaległości.

Konstytutywne zebranie Centralnego Związku Polskich Stowarzyszeń Łowieckich odbyło się w dniu 9. lipca b. r. w lokalu Polskiego Towarzystwa Łowieckiego w Warszawie.

Reprezentowanych było 14 Towarzystw. Przewodniczącym zebrania obrano p. Antoniego Wysockiego z Warszawy, który na asesorów powołał Juliusza hr. Bielskiego i pułk. Władysława Obuch-Woszczatyńskiego. Opracowany przez komisję organizacyjną statut, przyjęto bez zmian, a następnie przeprowadzono statutem przepisane wybory. Prezesem Związku wybrano Juliusza hr. Bielskiego, prezesa M. T. Ł., pierwszym wiceprezesem pana Antoniego Wysockiego z Warszawy, drugim pułkownika Władysława Obuch-Woszczatyńskiego, wiceprezesa Wileńskiego Towarzystwa Myśl. w Wilnie. Sekretarzami Związku wybrano Feliksa Rożyńskiego i Bolesława Kosarzewskiego, skarbnikiem Kazimierza Świsterskiego, a referentem łowieckim Jana hr. Morstina.

Panowie Ci stanowią Wydział wykonawczy centrali, który to Wydział odbył w tym dniu natychmiast swoje posiedzenie, a następne posiedzenie wyznaczył na dzień 7. września b. r.

Do Zarządu Centralnego Związku weszli również z pomiędzy członków M. T. Ł. p. p.: Cyryl Czarkowski-Golejewski, Dr. Jan Kalm-Podoski, Ordynat Edward hr. Krasiński, Albert Mniszek, generał Tadeusz Rozwadowski i Dr. Alfred Sander. Na redaktora organu Centralnego Związku, którego pierwszy numer pojawić się ma 1. października b. r., zaproszono Dr. Jana Sztolcmana.

Redaktor odpowiedzialny: Albert Mniszek. Z drukarni W. A. Szyjkowskiego, Lwów, Zimorowicza 14. — Tel. 740.
Nakładem Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego.